PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Nr 9. **30. Czerwca.** **1875.**

Wychodzi z końcem każdego miesiąca.

REDAKCYA: Zwierzyniecka Nr 36 w Krakowie.

ADMINISTRACYA: w księgarni A. Otremby nakładcy w Krakowie.

Cena przedpłaty:
Rocznie: 6. Złr. = 4. Rs. = 4. Tal. = 14. Fran.
Półrocznie: 3. „ = 2. „ = 2. „ = 7. „
Kwartalnie: 1. 50. „ = 1. „ = 1. „ = 3. 50. „
Pojedynczy Nr kosztuje 60 ct. = 35 kop. = 12 sgr. 1 Fr. 25 cent.
Ogłoszenia księgarskie przyjmuje Administracya po 6 ct. od wiersza.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ: nakładca A. Otremba księgarz w Krakowie, oraz wszystkie większe księgarnie w kraju i za granicą.

W Warszawie skład główny w księgarni Ferdynanda Hösicka. W Poznaniu I. K. Żupańskiego. — W Paryżu Librairie de Luxembourg.

Treść.

Filozofia.

Juliusz Niemirycz: Filozofia historyi prawa i t. d. Część II. Grecja i Rzym. Warszawa, w księgarni Orgelbranda, 416 str. 8vo.

147] W numerze 1szym niniejszego Przeglądu recenzent tomu 1go pracy powyższej wyraził z swojej strony wątpliwość, czyby autor dzieło założone na tak wielkie rozmiary przeprowadzić był w stanie, zwłaszcza, skoro w tym względzie dotychczas wiele epok dziejowych krytycznie wcale niezostało wyjaśnionych. Niedziwimy się też wcale, że autor przeważną część tomu 2go poświęcił właśnie tej epoce, która z pośród wszystkich najwszechstronniej dotąd była badaną tj. epoce rozwoju prawa rzymskiego (str. 138—416); ale dziwimy się bardzo, czemu pracę swoją, do tego przedmiotu się odnoszącą w taki sposób rozdzielił, że najprzód w trzech rozdziałach na 132 kartach mówił o dziejach Rzymu, o historyi jego prawa, tudzież w szczególności o prawie rzymskiem cywilnem, karnem, jego procedurze i o prawie narodów a potem dopiero zaledwo na siedmiu kartach skreślił historyę filozofii prawa rzeczonego. Wprawdzie autor czytającemu dzieło jego łatwą i wygodną chciał podać sposobność do obznajmienia się z zasadami prawa, które ze stanowiska filozoficznego zamierzył ocenić (§ 358); ale z tej przyczyny należało mu się ograniczyć właśnie tylko do skreślenia głównych zasad prawa tego i naszkicować obraz historyi rozwoju jego. Tymczasem spotykamy się tam z szczegółami, które z właściwem autora zadaniem w żadnym nie zostają związku. I tak np. pocóż było w historyi przytaczać skład komisyi wyznaczonych do ułożenia kodeksów Teodozyusza albo Justyniana (str. 222, 224), po co umieszczać szczegóły o wydaniach zbiorów Justyniana (§. 314) albo o pomnikach prawodawczych z czasów rzymskich (§. 315)?

Kiedy jednak autor podać już chciał i takie szczegóły, to mógł sobie obrać którekolwiek z nowszych kompendyów historyi prawa rzymskiego i streścić w krótkości to, coby tam o tych przedmiotach był znalazł. Niktby mu takiego postępowania niemiał za złe, bo każdy wie, że nie jest zawodowym romanistą. Ale wtedy niebyłby pisał, że komisyi układającej pierwszy kodeks przewodniczył Trybonian, że do jej składu należał także Doroteusz (por. §. 1. const. haec quae necessario), że podział kodeksu tego na 12 ksiąg nastąpił na wzór ustawy XIItu tablic (str. 224), że nowele Justyniana w liczbie 168 wydane zostały przed jego śmiercią w osobnym zbiorze (str. 227, na str. 233 sam przecież twierdzi, że niektóre z nich pochodzą od następców Justyniana), niebyłby dalej sądził, że dzisiaj ktoś jeszcze utrzymywać może, jakoby rękopism florencki był w istocie własnością Justyniana (pochodzi z wieku VIIgo) albo żeby ktoś posądzał kiedykolwiek glosatorów, iż oni kopijując pandekta z tego rękopismu resztę sami byli dodali (str. 231), niebyłby następnie dopuścił się rażącej sprzeczności, utrzymując na str. 233, że główniejsze wydania corpus iuris pochodzą z czasów glosatorów (a więc z wieku XIIgo) i twierdząc o kilka wierszy dalej, że pierwszem wydaniem owego corpus iuris civilis jest wydanie Dionizego Gotofreda z r. 1583, niebyłby wreszcie na str. 234 pomników, na których wyryte są ustawy Rubria i Julia municipalis, pochodzące z ostatnich czasów rzeczypospolitej, zaliczył do pomników, zawierających konstytucye cesarskie.

Jednakże wszystkie te i podobne inne usterki wybaczyćby można autorowi, gdyby w historyi prawa rzymskiego wykazał był sposób, w jaki i czas, w którym główne czynniki wpływały na rozwój prawa w mowie będącego. Wątpimy jednak bardzo, aby ktokolwiek nieobznajmiony dokładnie z historyą tą, z pracy autora najmniejsze o przedmiocie rzeczonym powziął wyobrażenie, zwłaszcza, że tam znajdzie niedokładności, omyłki i sprzeczności, odnoszące się nieraz do najważniejszych kwestyj. I tak autor ustawę XII tablic na str. 194 poczytuje za „konieczne następstwo danych plebsowi przez patrycyuszów ustępstw“ (z powodu wy-

dalenia się ludu na górę świętą), a na str. 197 nazywa ją „pomnikiem nietylko prawodawczym ale i państwowym, zmieniła bowiem dotychczasowy porządek religijny, polityczny i prywatny." Jakiemi zaś zmiany te były, tego nam niemówi, tylko z odwołaniem się do Dion. Halic. XI. 45 przytacza na str. 196 jedną zmianę „w ustroju ogólno-państwowym" tj. „wybór odtąd obu konsulów przez komicje, kiedy dotąd senat mianował jednego"(!). Następnie twierdzi na str. 197, że później obmyślać poczęto różne środki prawnego obejścia prawa XII tablic i „tak powstały owe sławne fictiones juris, które nowe wywiązały prawodawstwo na podstawie dawnego"(!). Zdaniem autora (str. 197) od czasu wprowadzenia ustawy XII tablic aż do czasów Augusta przepisy obowiązujące okazywały się „w formie: prawa, plebiscytów, senatus consultów, edyktów urzędników, odpowiedzi prawników i wreszcie ustalonych, a tem samem w siłę prawa przeszłych, zwyczajów — wszystko jako uzupełnienie i tłómaczenia prawa XII tablic, jakkolwiek zupełnie sprzecznych z nim postanowień." Że leges, plebiscita i zwyczaj miały moc obowiązującą, to każdy pojmie, ale tem bardziej nasunie mu się co do innych form powyższych pytanie, w jaki sposób moc owa i do nich mogła być przywiązaną, tudzież w jaki sposób sprzeczne postanowienia służyć mogły do tłómaczenia albo uzupełnienia jakiegokolwiek prawa? Tego pytania autor wcale nie rozwiązał.

Przystępując do czasów jednowładztwa, autor na str. 210 powiada, iż ono „pochłania wszystkie prawa samorządu narodu i staje się wyłącznem źródłem prawodawstwa" — cóż, kiedy już na str. 213 twierdzi znów, że „senatus-consulta w epoce tej stają się głównem źródłem prawodawczem, pochłaniającem inne z zasad wyżej przytoczonych" (tj. leges i plebiscita). Zato nigdzie niema dotąd wzmianki o pojęciu iuris civilis i iuris gentium (rozumie się, że nie w znaczeniu, w jakiem autor użył wyrazów tych na str. 393), ani o stósunku wzajemnym ich do siebie, ani o stósunku iuris civilis do ius honorarium; o tem ostatniem na str. 206 przy skreśleniu działalności pretorów, o której ze słów autora także trudno mieć jakieś wyobrażenie, tyle tylko powiedział, że zbiór edyktów uskuteczniony za czasów Hadryana (edictum perpetuum) służył „odtąd jako ius honorarium; czyli prawo pomocnicze(!) aż do Justyniana." O tem, że na utworzenie prawa klasycznego prawnicy z epoki 3ciej największy wpływ wywarli, autor również tutaj nie wspomina, ale nader ciekawe umieszcza zdanie o responsach prudentium, odróżniając na str. 215 „dwojaką możność tłómaczenia prawa," z których jednę nazywa „jus publice respondendi," drugą „permissio jura condendi." Tamto oznaczać miało „prawo publicznego objawienia zdania swego w kwestjach prawnych" czyli rady na żądanie stronom udzielane, to zaś „opinje ogólnie w dziełach o pewnych kwestyach prawnych wypowiadane." Bylibyśmy autorowi bardzo wdzięczni, gdyby nam wykazał źródło swoich twierdzeń, bo przytoczony ustęp Pomponiusza w l. 2 §. 47 D. de o. i. odnosi się do ius respondendi, jak ono pojętem bywa powszechnie, zaś §§. 5 i 12 tej samej legis mówią o interpretatio z czasów rzeczypospolitej, podciągniętej jednak pod pojęcie iuris civilis.

Jakim sposobem w obec tego i wielu usterków w szczegółach autor w §. 397 twierdzić mógł, że w filozoficzno-historycznym poglądzie(?) jako główne sprężyny posuwania idei prawa w Rzymie naprzód wykazał: 1) systematyczną i legalną walkę postępu z konserwatyzmem (plebejuszów z patrycyuszami), 2) pracę „juriskonsultów ożywionych zasadami stoicyzmu," 3) ius gentium i naturalis ratio, wprowadzone przez pretorów — tego istotnie pojąć nie możemy.

Trudno było też spodziewać się dobrego obrazu historyi prawa rzymskiego, skoro nawet w naszkicowanym na początku obrazie dziejów Rzymu z rażącymi spotykamy się usterkami. I tak, rozpoczyna autor na str. 139 opowiadać, że „początek Rzymu zakryty jest zasłoną... Za czasów Grecyi, różni wychodźcy osiedlać się tu poczęli, niosąc z sobą prawa i zwyczaje metropolyi i te rozwijając wedle miejscowości i własnych wyobrażeń; i tak np. Zgromadzenia Amfiktiońskie zastąpione tu zostały przez kollegja Fecjalne(!)." Na str. 141 mówi zaś, że „wedle najdawniejszych podań, Aborigenowie z szedłszy z Alp (sic) zajęli dolinę Latium, wyparłszy ztamtąd Sikulów i pod wodzą Faunusa, Picusa i Latinusa pierwszych królów, tam siedzibę swą obrali" i wspomina dalej o Eneaszu z rozbitkami wojny trojańskiej, o Amuliuszu, Romulusie i td. Wreszcie na str. 183 utrzymuje, że Rzym „powstał ze zlania się trzech plemion, mianowicie Etrusków, Sabinów i Latynów, z których pierwsi należeli do odrębnej rasy, Sabinowie zaś i Latyni ze wspólnego pochodzą szczepu." Zkądże się więc Rzymianie wzięli? Wprawdzieby można sądzić, że autor przychyla się do zdania ostatniego; ale kiedyż za podstawę do swoich badań filozofinych przyjmuje na str. 406 fakt, że „najprzód Romulus zgarnąwszy do kupy setki swych awanturników, zaprowadza rząd monarchiczny, celem utrzymania na wodzy różnorodnych żywiołów." Na str. 141 dowiadujemy się, że główniejsze plemiona półwyspu italskiego tj. „Sabinowie, Latyni, Samnici, Umbry, Etruski, Oski etc. tworzyły jedną ligę wspólnego bezpieczeństwa i obrony na zewnątrz," na str. 143, że z powodu zajęcia Rzymu przez Porsenę „wywiązała się oligarchja, która pod nazwą patrycyuszów, wypędziwszy z Senatu plebejuszów, ujęła ster władzy," w dalszym ciągu, że patrycyusze widząc, iż trybunowie otrzymali w zadaniu położyć tamy ich nadużyciom „postanowili pozbyć się gminu i zakładać kolonje po za obrębem miasta" i że koloniści pozbawieni byli praw metropolyi(!)

Po opowiedzeniu wojen punickich autor na str. 156 przystępuje do skreślenia wzajemnego stosunku pomiędzy patrycyuszami i plebejuszami i tu dopiero mówi o powstaniu tych stanów, sądząc zapewne, że walki socyalne, które się toczyły od czasu Grachów, były walkami pomiędzy takiemi samymi patrycyuszami i plebejuszami, jakimi byli ci, których stanowisko prawne już dawno przedtem zostało wyrównane. Tu się dowiadujemy, że „spór Patrycyuszów z Plebejuszami datuje od początku prawie Rzymu," że jednak mniemanie historyków rzymskich, jakoby Romulus utworzył patrycyat, „niewytrzymało późniejszej krytyki, która twierdzi, że podstawą wiekowych kłótni, zawiści i wspólnej zazdrości, była różność pochodzenia, nie w znaczeniu pariasów w obec Brahminów..., ale że Rzymianie należeli do dwóch różnych narodowości pochodzących od jednego szczepu Indo-Europejskiego." Ma to być zdanie Niebuhra: żałujemy tylko, czemu autor niewskazał miejsca, w którem Niebuhr coś podobnego

twierdził. Na str. 162 powiada nam, że Caius Gracchus „wprowadził (sic) do senatu 600 członków z rodu equestrów czyli plebejuszów uszlachetnionych mianem rycerzy,“ lecz to nieprzeszkadza mu, utrzymywać na str. 203, że dopiero „za czasów Sylli skład senatu uległ zmianom.“ Na str. 167 dowiadujemy się, że za rządów Cezara ogłoszono prawo, „mocą którego wszystkie ludy, nawet nieprzyjaźni Gallowie stają się odtąd obywatelami rzymskimi“ i że w skutek tego, jak również i w skutek ugruntowania jednowładztwa „różnorodne pierwiastki cywilizacyi greckiej, afrykańskiej, germańskiej i pelasgijskiej, składać się poczęły dla wytworzenia prawa prywatnego rzymskiego.“ Ponieważ jednak na str. 179 autor znów utrzymuje, że constitutio Antonini, o którym i dzisiaj jeszcze wątpi, czy to był Karakalla, „nadała obywatelstwo wszystkim bez wyjątku mieszkańcom cesarstwa,“ zdaje się przeto, że on w poprzedniem prawie Cezara widzi legem Juliam de civitate sociis danda, którą wnosił istotnie C. Julius Caesar, ale całkiem inny, aniżeli dążący do jednowładztwa sławny Juliusz Cezar.

Wszystkie powyższe usterki możnaby jednak wziąć jeszcze na karb licentiae philosophicae, gdyby przynajmniej główne zasady rzymskiego prawa prywatnego, o którem sam na str. 167 powiada, „że wykończoność jego po dziś dzień w podziw nas wprawiać nieprzestaje,“ wiernie był podał. Ale kiedy właśnie w tej części najwięcej znachodzimy błędów i to nawet takich, które się tyczą zasadniczych pojęć. Już poczytanie niewolników za osoby (str. 239) wprost się sprzeciwia rzymskiemu prawu cywilnemu. Ulpian w fr. XIX § 3, tudzież Gaius II §. 15 wyraźnie ich zaliczają do res mancipi i dziwna rzecz, czemu autor w nocie 478 na str. 274 z ustępu Ulpiana wyrazy item servi wypuścił. Na str. 243 ius Latii i ius Italicum pojęte najmylniej. Na str. 249 osoby pod opieką i kuratelą będące zaliczone są do osób alieni iuris, na str. 266 do osób sui iuris. Na str. 259 twierdzi autor, że „w prawie Justyniana connubium zastąpione zostało stopniami pokrewieństwa, które uniemożebniały zawieranie związków małżeńskich,“ jak gdyby według prawa przedjustyniańskiego pokrewieństwo nie było stanowiło przeszkody małżeństwa. Affinitas czyli powinowactwo przyjęte tu jest jako rodzaj pokrewieństwa czyli związku krewnych(!) a przytem podane całkiem mylne pojęcie agnacyi i kognacyi. Na str. 273 rzeczą nazwany jest „każdy przedmiot pod zmysły nasze podpadający.“ Na taki sposób musiałby i każdy człowiek być rzeczą a cóżby natenczas znaczyć miały rzeczy niezmysłowe (str. 274)? Na str. 275 autor wyraża się następnie: „Pojęcie znaczenia possessio jest nierozdzielnie złączonem z pojęciem własności, dominium, czyli dowolnem rozporządzaniem rzeczy w posiadaniu będącej“ (jakby własność bez posiadania istnieć nie mogła), dalej: „Nabywanie tego prawa do rzeczy wraz z rozmaitemi sposobami ograniczania lub pozbawiania się takowego, tworzą zobowiązanie w ogólności“(!!). O służebnościach mówi autor na str. 279: „prawo służebności jest to ciężar włożony na jedną rzecz dla pożytku drugiej rzeczy, polega zatem in faciendo(!) in habendo(!) et in prohibendo(!).“ O kilka wierszy dalej twierdzi, że służebności polegają in faciendo et in non faciendo, pomimo, że w nocie 493 pati albo non facere najwyraźniej podane ma jako przedmiot służebności. Z prawa spadkowego przytaczamy tylko jeden nader ciekawy ustęp (str. 291): „Ten rodzaj testamentów, powstały na podstawie przepisów prawa cywilnego nakazującego świadków, konstytucij cesarskich, przepisujących konieczność przepisu (sic) tak testatora jako i świadków, wreszcie prawa pretorskiego nadającego moc aktowi po sprawdzeniu pieczęci i świadków, nazwano tripertitum“(!!). Na str. 313 przy skreśleniu noweli 118 rodzeństwo z jednego ojca i matki przez autora najzupełniej zostało pominięte. Ale i nauka o zobowiązaniach niewypadła lepiej. Mutuum i commodatum (pożyczkę i wygodzenie) autor na str. 321 objaśnia tak: „jeżeli ktoś pożycza pieniądz i żąda powrotu tegoż, będzie nie mutuum ale commodatum(!), jak znów mutuum będzie w pożyczeniu wołów, książek etc., gdy nie tożsamość, ale wartość zawarowaną tylko została“(!!). Czyż autor niemógł przeczytać sobie art. 1874, 1875, 1892 a szczególniej art. 1894 ustawy cywilnej francuzkiej? boć to przecież pojęcia znane i nieprawnikom.

Zdaje nam się, że innych usterek — a jest ich tam jeszcze bardzo wiele — wytykać niepotrzebujemy, a dla nacechowania skreślonej w następnym rozdziale procedury cywilnej przytoczymy tylko następujące dosłowne ustępy z samego początku str. 345): „Sposób, w jaki odbywało się postępowanie sądowe w ogólności, był trojaki: 1) powództwo wedle prawa (in jure)); 2) pretorskie (in factum) czyli formalne; 3) nadzwyczajne, zwykle rozpoczynane przez urzędnika, a kończone przez sędziego“(!!). „Pretor po przedstawieniu mu się stron, spisywał punkta sporne dla sądu, dla tego postępowanie to nazywało się actio per concepta verba, a pismo formula, ztąd procedura formalna“. Części formułek na str. 346 autor zaś tak pojmuje: „Demonstratio określało w ogóle żądanie powoda.“ „Intentio streszczało szczegóły domagania się proszącego. Adjudicatio przysądzało rzecz sporną. Condemnatio skazywało winnego.“ Widać, że ustępów z Gaja, do których się odwołał w nocie, wcale nie czytał, gdyżby czegoś podobnego niebył mógł pisać.

Przytem w łacińskich wyrażeniach, umieszczonych tak w tekście, jako też w notach mnóstwo jest błędów (przypuszczamy że drukarskich), które ustępy ze źródeł czynią nawet niezrozumiałemi.

Jakżeż w obec tego wszystkiego wypaść mogły badania filozoficzne? Przedsmak ich otrzymujemy w niektórych fantastycznych poglądach, umieszczonych w historyi rzymskiej np. z samego początku na str. 140: „Wpływ kapłaństwa pogańskiego przygotował grunt Chrystjanizmowi, jak tylko religija ta za lepszą od dawnej uznaną została, głównie zaś utorował drogę władzy doczesnej Papieża, w osobie Hildebranda, gdy ten jako Grzegórz VII sięgnął po korony europejskich monarchów, czyniąc je zależnemi od władzy Rzymu.“ Na str. 156 autor ubolewając nad tem, że nieutworzono w Rzymie stanu średniego, mówi: „tem ograniczył (sc. Rzym) zadanie swe zjednoczenia ludów, bez uczynienia trwałym gmachu, który zbudował, czyli że pozostawiając Chrystjanizmowi stanie się wiecznotrwałym cementem wielkiej jedni duchowej ludów na ziemi, sam, skupiwszy rozproszone cząstki owej całości, miejsca mu ustąpić musiał.“ Na str. 172 powiada: “Jeżeli zatem upadł Rzym pełen materyi, zbytku i rozpusty, za to duch jego, odarty z zabłoconych szat czasu i przestrzeni, osiadł nad brzegami Sekwany, szerząc wkoło swe promienie„ — na str. 175 twierdzi zaś, że ten sam „duch opuszcza wyplenione już brzegi Tybru, a prze-

*

nosi się dla dalszych celów w te same miejsca, w których po raz pierwszy światło ujrzał dzienne, gdy wykłuwszy się z gąsienniczej łuski wschodu, tutaj osiadł.“ Na str. 178 spotykamy się znów z takim ustępem: „Cesarstwo rzymskie przedstawia się (scil. z wyższego stanowiska autora) jako arena wielkiej jedni rodu ludzkiego. Podboje skupiły ciało, ewangelija ducha — i tak ludzkość powstała.“

Zwróćmy się jednak do właściwych badań filozoficznych. W §fie 397 mówi autor: „idea prawa w Rzymie urzeczywistniła się jako prawo ludzkie prywatne z zupełnem uznaniem indywidualnej woli i własności; oddziela prawo od moralności i obyczajności i rozróżnia interesa publiczne od prywatnych.“ Zdanie to dzisiaj spotykać można w encyklopedycznych nawet działach, nie jest ono więc wymysłem autora, ale z wywodów jego trudno byłoby je wyprowadzić. I tak sądzi autor na str. 408, że dopiero „za cesarzów, gdy despotyzm i tyranja zrównały wszystkich“.. w prawach ogólnych „szukano poręczenia samolubnych celów czyli zrobiono dobrowolnie osobiste ustępstwo szanowania prawa drugich, aby mieć własne szanowanemi i tak powstały pierwsze dążności utworzenia stałych stosunków między prywatnemi na wolnej woli opartych.“

Jakież to płytkie i mylne pojmowanie zasady, na której się rzymskie prawo rozwinąć miało, zwłaszcza w obec tej okoliczności, że Ihering, którego dzieło autor chwali i cytuje, w mistrzowski sposób wykazał, jak zasada woli indywidualnej od samego początku była podstawą rozwoju prawa w mowie będącego. Zresztą twierdzi autor dalej, że „stoicyzm, ożywiając Gajusów, Paulusów, Papinjanów, Ulpjanów i Modestinów, wytworzył wielkie prawdy społeczne,“ następnie, że „gdyby nie stoicyzm, prawodawstwo rzymskie, po wstając wśród błotnistego morza uczuć, zepsucia ogólnego i skalanych namiętności, nigdyby nie wypłynęło na wierzch czystem i przejrzystem.“ Jakżeż z zdaniem tem pogodzić słowa autora, przytoczone na str. 192, że w Rzymie „w samem już zaraniu, widzimy ów godny podziwienia zdrowy rozsądek i logiczność rzymską, zawsze i wszędzie wszystkiemu prawidłowy rozwój nadające“ — albo wychwalanie przez autora na str. 412 starodawnego obyczaju rzymskiego? Na str. 409 powstaje on przeciw niektórym filozofom niemieckim, sądzącym, „jakoby prawo rzymskie w swej osnowie nie tylko nie podtrzymywało moralnych zasad, lecz nawet takowe znosiło,“ a jednak twierdzi sam na str. 413, że „samolubstwo jest rdzeniem drzewa prawodawstwa rzymskiego“ a na str. 414, że „w prawie prywatnem własny interes, szukający korzyści kosztem drugich, był uważany za prawo natury.“

Nie wątpimy o najlepszych chęciach autora, ale właśnie dla tego należało mu poymyśleć o tem, że są warunki, pośród których przez wydrukowanie dzieła wyrządzić można krzywdę literaturze ojczystej.

Z..

Historya i geografia.

Dr. Ludwik Kubala: Proces Radziejowskiego. (Przewodnik Nauk. i Lit. rok 1875, tom I, 19—32, 113—129, 246—255, 364—375.)

148] Chcielibyśmy choć w kilku słowach zwrócić uwagę czytającej publiczności na ten pod względem formy i pod względem treści tak szacowny i zajmujący szkic Dr. Kubali, że zdaniem naszem śmiało postawić go można obok najpiękniejszych szkiców Karola Szajnochy. W porównaniu do dawniejszych prac Dra K. widzimy w tym szkicu ogromny postęp: język czysty i poprawny, sposób opowiadania prawdziwie zajmujący, charakterystyki osób i czasu ze wszech miar trafne, sąd wytrawny i na głębokiej znajomości rzeczy i stosunków oparty, znajomość literatury i źródeł rękopiśmiennych bardzo obszerna; zwłaszcza rękopisy Zakładu Ossolińskich i archiwum głównego warszawskiego dostarczyły autorowi mnóstwa ciekawych i dotąd po większej części nieznanych dat. Szkic ten czytaliśmy z takiem zajęciem, żeśmy z każdą przewróconą kartką żałowali, iż się zbliżamy do końca. Autor — śmiało to twierdzimy — jest dzisiaj u nas jednym z najgruntowniejszych znawców historyi polskiej wieku XVII, a ostatnia ta praca jego przekonywa nas, że kilkoletnie studyum wyrobiło w nim prawdziwie dzielnego pracownika na polu historycznej naszej literatury. Jeżeli dawniejszym jego pracom, mimo wcale licznych ich zalet, zarzucaliśmy nieraz zbytnią pobieżność i niewyczerpanie źródeł i żywiliśmy w głębi serca życzenie, żeby tak uzdolniony pracownik pozbył się tej niewątpliwie wielkiej wady, to ta ostatnia praca jego i pod tym względem — zdaniem naszem — nie pozostawia nic do życzenia, zadowalnia nawet bardzo wybredne wymagania. Nie mając szkicowi temu nic do zarzucenia a nie chcąc go tutaj streszczać, nie pozostaje nam nic innego, jak polecić czytelnikom naszym odczytanie go, w tem przekonaniu, że lektura ta sprawi im tę samą przyjemność jaką nam sprawiła. Oby szan. autor znalazł czas i sposobność potemu, aby mógł i nadal wzbogacać literaturę naszą podobnie cennemi i zajmującemi pracami.

X. L.

M. hr. Dzieduszycki: Starostowie ruscy i lwowscy. (Przewodnik nauk. i literacki, 1875, I, 428—445.)

149] Hr. M. Dzieduszycki już dawniej po dwakroć pisał o starostach ruskich i lwowskich: w Dodatku do Gazety Lwowskiej (1869) i w Unii (1871). Teraz po trzeci raz wziął się do tego tematu, przedewszystkiem na podstawie bogatych uzupełnień, jakie do pracy takiej podają Akta grodzkie i ziemskie. Rozprawa autora zatem wypadła o wiele dokładniej niż dwa poprzednie jego opracowania a każdy, kogo zajmują dzieje Rusi, z korzyścią ją odczyta i licznych nowych dat z niej się dowie. — Nie pozostała ona jednak bez myłek, wynikających w części z tego, że autor zbytecznie polega na bałamutnym i niekrytycznym Zubrzyckim. Ażeby wykaz autora był o ile możności dokładnym, pozwolimy sobie podać tutaj szereg sprostowań i uzupełnień.

Najprzód z szeregu podanych tu starostów wyrzucić trzeba dwóch: nr. I i nr. XVII. Pierwszym bowiem starostą ruskim (provisor seu capitaneus Russie), jest w r. 1341 Demetrius Dedko (zobacz Bielowski Monum. Pol. Hist. II. 621 i 622). Po nim, o ile na podstawie znanych dokumentów wykazać można, następuje Abraham z Baranowa, a nie Otto z Pilczy. Zubrzycki się myli: dokument bowiem, który na dowód starostwa Ottona z r. 1351. przytacza, nie pochodzi z tego roku, lecz z r. 1370, będzie on ogłoszony w VI. tomie Aktów gr. i ziemskich. Zubrzycki nie umiał odczytać i rozwiązać cerkiewnej daty i dla tego zbłądził. — Drugi starosta, którego z wykazu hr.

D. wyrzucić trzeba, jest Piotr z Melsztyna; i tu znów zbłądził autor, ufając zbytecznie Zubrzyckiemu. O Piotrze Melsztyńskim z początku wieku XV nikt w ogóle nie słyszał, Zubrzycki postawił tu gołosłowne twierdzenie, niczem nie poparte; dla starosty tego w ogóle nawet miejsca nie ma pomiędzy Iwanem z Obychowa a Spytkiem z Tarnowa, bo Spytek nie dopiero w Marcu, lecz już co najmniej od samego początku r. 1422 jest starostą (zob. rachunki lwowskie w arch. miejsk. lwowsk. III, 3, str. 297). W całem archiwie miejskiem nie ma najmiejszego śladu po owym rzekomym Piotrze, owszem pokazuje się, że po Iwanie nastąpił bezpośrednio Spytek z Tarnowa.

Spytek z Jarosławia (nr. XXVIII, a właściwie XXVII), nie mógł być od r. 1469 wojewodą ruskim, bo województwo to zajmuje od r. 1465 do co najmniej 5. Stycznia 1474 Stanisław z Chodcza (AGZ II, 184, 187 i 208; — Kodex mogilski 102 i arch. m. Lwowa). Dalej Piotr z Mirowa Myszkowski (nr. XXIX, właściwie XXVIII) nie został w r. 1500 starostą ruskim, bo już 6. Września 1499 r. wystawia jako wojewoda bełzki i starosta ruski dokument, pisząc się: Petrus Mischkowsky de Przeczyczow (oryginał w arch. miejsk. lwowskiem).

Najwięcej myłek wkradło się do nr. XXX (właściwie XXIX): Stanisław z Chodcza herbu Poraj, powiada autor. Najprzód rodzina panów z Chodcza na Rusi osiadła nie należy do Porajitów lecz do Odrowążów. Niewątpliwe dowody mógł znaleźć autor w AGZ, IV, 163 i V, 102, — w kodexie mogilskim 143 i 144. Szczegół ten jest wcale zajmującym nie tylko pod względem heraldycznym, ale i historycznym, bo widzimy z tego, że Odrowążowie, których jako Odrowążów wyrzucono drzwiami z zarządu Rusi, wchodzą doń napowrót oknem jako Chodeccy już na samym początku wieku XVI. — Dalej powiada szan. autor, że Stanisław z Chodcza, który w r. 1501 objął starostwo lwowskie, był „od wielu lat kasztelanem lwowskim." Jest to nowa pomyłka, która, zdaje się, ztąd powstała, że autor złączył w jednę osobę ojca i syna.

Stanisław z Chodcza ojciec bowiem występuje od r. 1455–1460 jako starosta halicki (AGZ, IV, 162 i III, 220), w r. 1461 jako kasztelan lwowski i starosta halicki (AGZ, IV, 173 i Rzyszcz. i Muczk. III, 430), w r. 1462—10 Maja 1465 jako wojewoda podolski i starosta halicki i kamieniecki (AGZ, II, 176 i 184; IV, 181), wreszcie od 21 Czerwca 1465—5. Stycznia 1474 r. jako wojewoda ruski i starosta halicki i kamieniecki (AGZ, II, 187, 208 i 212; Kodex mogilski 102 i archiw. m. Lwowa); w dniu 31. Grudnia 1474 czytamy o nim jako o zmarłym (AGZ, II, 212).

Stanisław z Chodcza syn poprzedniego zaś w r. 1493 jest tylko starostą halickim; jako kasztelan lwowski występuje po pierwszy raz 1. Marca 1497 r. (Rachunki miejskie w arch. m. Lwowa III, A, 2, str. 716 i Scriptor. rer. prussic. tom V. dziennik Nakera), nie był więc w r. 1501 „od wielu lat" kasztelanem lwowskim; w r. 1506 (a nie 1507, jak pisze autor) zostaje marszałkiem koronnym, zatrzymując starostwo lwowskie a zrzekając się kasztelanii (AGZ, II, 94; Rzyszcz. i Muczk. III, 139).

Chybioną jest także adnotacya autora na str. 439, w której autor częścią polemizuje z Niesieckim, częścią stara się dowieść, że ci panowie z Chodcza zwali się właściwie Halickimi. Niesiecki powiada „pisali się z tego Chodcza, co leży na Pokuciu," autor temu przeczy dowodząc, że Chodecz leży w województwie brzesko-kujawskiem, a na Pokuciu go nie ma. Niewątpliwie — odpowiadamy — ale w Polsce istniały dwie familie piszące się z Chodcza, jedna na Kujawach, druga na Rusi. Do owej Kujawskiej rodziny liczymy Andrzeja brzesko-kujawskiego kasztelana w r. 1455 (AGZ, V, 184) i pewnie także Pawła kasztelana połanieckiego w r. 1506 (Rzyszcz. i Muczk. III, 139). Może być, że ta rodzina należała do Porajitów, jak chce Niesiecki, a w każdym razie pochodzi z kujawskiego Chodcza. Niesiecki tak wyraźnie mówi o Chodczu na Pokuciu, jakby na niego własnemi oczami patrzał, nie śmiałbym zatem wątpić, że miejscowość tej nazwy istniała dawniej na Pokuciu i z niej się pisali ruscy Odrowążowie — Chodeccy. Z czasem mogła miejscowość ta zniknąć, jak tyle innych na Pokuciu.

Przypisywanie zaś nazwy Halickich panom z Chodcza polega tylko na nieporozumieniu. W żadnym urzędowym dokumencie nigdy Stanisława z Chodcza nikt nie nazywa Halickim. Skąd nazwa ta powstała, widzimy jak najwyraźniej z dziennika Liboryusza Nakera (Script. rer. pruss. tom V). Naker regularnie nazywa Stanisława z Chodcza, kasztelana lwowskiego i starostę halickjego, „herr Stenzel Halitzky," mimo to, że we wszystkich listach królewskich, które sam przytacza, król zawsze go nazywa „Stanislaus de Chodecz castellanus leopoliensis et capitaneus haliciensis." Od tego starostwa halickiego przyczepiła się do Stanisława nazwa Halickiego tak silnie, że mu ją Decyusz i inni dają nawet wtedy, kiedy już godności tej nie piastuje. Takie jest rozwiązanie tej zagadki a nie inne.

Kończąc ten szereg sprostowań do cennej rozprawy hr. M. D., nadmieniam, że z zupełną ścisłością da się szereg starostów ruskich i lwowskich oznaczyć tylko wtedy, jeźli się zużytkuje bogaty rękopiśmienny materyał miejskiego archiwum we Lwowie, przedewszystkiem bardzo ciekawe księgi rachunkowe.

X. L.

Józef Louis: Wieś Paczołtowice (Monografia); w Krakowie 1874 str. 174. (Osobne odbicie z dziennika Czas, nakładem autora).

150] O 3 mile od Krakowa na północo-zachód leży wieś Paczołtowice. O pierwotnych dziejach wsi tej nie wiele wiemy: domyślać się jednak należy, że w XIV. wieku istniał już tutaj kościółek a w r. 1398 napotykamy już właściciela, piszącego się Zygmuntem z Paczołtowic. Jako rodzina niezamożna a mocno się rozmnażająca, podupadli Paczołtowscy w połowie XV. wieku tak, iż już wówczas wieś Paczołtowice na kilka części była podzieloną. Wtedy to zapewne któryś z mniej zamożnych Paczołtowskich wykorczował las przyległy Paczałtowicom i zasiedlił go, nazywając osadę tym sposobem powstałą: Osiedlcem, Siedlcem; — jak znowu z czasem na zachód powstał folwark przez osadników zbiegów z okolicznych włości zamieszkały, a przeto Zbiegiem, Zbikiem nazywany. Po Paczołtowskich przechodziły dobra te już to drogą sprzedaży, już zastawu z rąk do rąk, były chwilowo majętnością Tenczyńskich, Bonerów, Czerskich, aż w r. 1628 zakupiła Agnieszka hr. Tenczyńska wdowa po Mikołaju Firleju, wojewodzie krakowskim, dobra te i oddała je w posiadanie Karmelitom bosym. Akt erekcyi klaszto-

ru podpisała ona w r. 1631 w Rogowie a już 1. Października 1640 poświęcono pustelnię i wprowadzono zakonników. Fundatorka zapisała na ich utrzymanie wiele sum i sprawiła potrzebny sprzęt kościelny. Od tego to czasu stały się Paczołtowice, Zbik i Siedlec wsiami klasztornemi.— Dotąd zażywały wsie te pokoju — od tego dopiero czasu klęski ojczyzny i w tym zakątku mocniej uczuwać się dały. Pierwszy najazd Szwedów, przejście wojska Rakoczego, drugi najazd Szwedów jak nie mniej przechody polskich wojsk, dawały się wsiom klasztornym we znaki i tylko wpływy zakonników lepsze chwile sprowadzić zdołały. W r. 1796 pociągnął Frydryk ks. Holsztyński generał pruski granicę podziałową tak, iż Paczołtowice do Austryi się dostały. — Stan wsi przed wprowadzeniem Karmelitów nie jest nam dobrze znany: dopiero rachunki klasztorne okazują, iż zwłaszcza między pierwszą a drugą wojną szwedzką był nader kwitnącym. Kamieniołomy paczołtowickie dostarczające marmuru na kilka kolorów polerować się dającego, a o których już w r. 1440 jest wzmianka, przeszły w ręce zakonników dopiero r. 1644. i przynosiły im bardzo znaczne dochody. Stosunki prawne były aż do czasów wprowadzenia Karmelitów takie same jak i w innych wsiach, dopiero z zakonnikami zmieniły się one i to wcale nie na lepsze; kodeks karny, który w r. 1671 ogłoszono, może iść w porównanie z najostrzejszymi.

Oto jest treść monografii pięknym językiem napisanéj i z tego też powodu przyjemnie się czytającej. Zrobićby należało tylko następne, zdaniem naszem, ważne zarzuty. Zapytajmy się nasamprzód, czego się wymaga w innych krajach od podobnej monografii? Oto wymaga się, aby uwzględnionemi były dzieje, stosunki prawne, stan wewnętrzny, i żeby wszystkie wywody przeprowadzonemi były na podstawie źródeł, z ich podaniem wyraźnem. Monografia p. Louis czyni zadość wszystkim tamtym wymogom, i to jej zaletę stanowi; tylko na ostatni najważniejszy nie ma zupełnie względu. Dlaczego też autor z tego co mu „szczęśliwy wypadek oddał w ręce tj. starych rachunków gospodarskich, współczesnych zapisów OO. Karmelitów“ nie raczył nam, choćby tylko dla kontroli, najgłówniejszych punktów przytoczyć, a z „aktów miejscowych, sąsiednich parafii i dworów“ przynajmniej wyciągów podać? Jakżeby pożądanym był np. ów kodeks karny z r. 1672, gdyby go był autor w całości przytoczył! Autor oprócz w kilkunastu miejscach nie cytuje, zkąd swe wiadomości czerpie. Nie mamy prawa nie wierzyć w to co autor podaje, ale też nie może nas autor zmusić, abyśmy we wszystko wierzyli. Zkąd też np. autor wie, iż z marmurów paczołtowickich wyrobiono wielki ołtarz u św. Szczepana w Wiedniu?— możebyć, że autorowi zdawało się to zbytecznem: ale my nie możemy wierzyć, póki nie będziemy mieć dowodu. Już to w każdej umiejętności a więc i w historyi potrzebnym jest dowód — szczęśliwy kto na słowo uwierzyć może! A dalej: kto to jest ten naoczny świadek, który tyle autorowi wiadomości podaje? Autor wprawdzie zapewnia nas, iż „z historyczną wiernością“ kreśli stosunki: ale gdzież gwarancya, że autor się nie omylił, skoro błędy przytrafiają się nawet najsumienniejszym badaczom? Powodem, iż autor nie cytuje źródeł, jest zdaniem naszem ta okoliczność, że zanadto zapatrzył się na „drogocenne historye całego narodu,“ — które także nie cytują źródeł: — ale też takowe właśnie dla tego przy gruntownych pracach zupełnie pominiętemi być muszą.

Dalszym zarzutem byłby ten, iż autor jest niesłychanym optymistą. P. L. powiada w przedmowie, iż „obok drogocennych historyi całego narodu, spisane mamy odrębnie dzieje znacznej liczby miast i miasteczek naszych, naszego handlu i kościoła, prawodawstwa i oświaty.“ Czy zdanie to jest słusznem? czy można tak na seryo powiedzieć?! Namby się raczej zdawało, że powinnibyśmy raz już zaprzestać samochwalstwa i natomiast wyznać w pokorze, że historyi całkowitej nie mamy dotąd, że historyi nawet najgłówniejszych miast np. Krakowa, Warszawy, Lwowa, i t. d. nie posiadamy jeszcze, że o dziejach kościoła, prawodawstwa, handlu i oświaty takich, któreby zgodnie z dzisiejszemi wymogami nauki były napisane, nawet mowy nie ma, a na życiorysy wsławionych osób dopiero się zanosi!

Monografii potrzeba koniecznie: bo na ich podstawie dopiero można zbudować gmach dziejów ogólnonarodowych; ale muszą być tak opracowane, aby na nich polegać było można. Dopóki jednak każdy szczegół w monografiach pozostanie bez dowodu — dopóty nie może być mowy o gruntownej monografii. I ztąd to pochodzi, iż chcąc dziś z dziejów Paczołtowic zaczerpnąć jakiejś wiadomości, trzeba jechać na miejsce i tam ją sprawdzić, skoro jak powiedzieliśmy na słowo uwierzyć trudno.

Rozpisaliśmy się nieco szerzej, bo monografia ta widocznie z talentem napisana: brak jej tylko naukowego kierunku, bo brak należytego podania źródeł. Gdyby nie ten błąd zasadniczy, to niezawodnie zapisaćby ją można jako jednę z najlepszych pomiędzy pracami tego rodzaju. *R. M—r.*

Dr. Sieniawski: Powierzchnia ziemi i jej klimat. Śrem 1874. str. 84.

151] Co właściwie autor zamierzył? Dla kogo napisał tę książeczkę? Trudno z jej układu i treści odgadnąć. Rozmiary jej i niektóre ustępy, mianowicie trzy pierwsze rozdziały, w których nam dał banalny zupełnie obraz powierzchni ziemi, podziału jej na lądy i morza, takiż opis pięciu oceanów i powietrza otaczającego naszą ziemię, — przemawiałyby za tem, że ma to być popularny wykład meteorologii. Tymczasem w dalszych rozdziałach, gdzie mu przyszło mówić o cieple powietrza, wiatrach i deszczach, jest tak niejasnym, tak niesystematycznym i tak niezupełnie odpowiada na nasuwające się czytelnikowi pytania, że tylko najzupełniej z nauką meteorologii zaznajomiony czytelnik odnajdzie się w tym labiryncie. Autor wspomina przypływ i odpływ morza, ale tłomaczy go tylko ogólnym frazesem, że to zjawisko jest wynikiem siły przyciągającej księżyca i słońca. Ta niedokładność jeszcze jest do przebaczenia, bo zadaniem autora przedstawienie nam klimatu powierzchni ziemskiej. Lecz tu powtarza się to samo. Autor nie wyjaśnił dostatecznie ani natury passatów i przyczyn dla których wieją z północy-wschodu, resp. z południa-wschodu, ani monsunów, a przedewszystkiem wcale nie uwzględnił ciśnienia atmosferycznego powietrza i mówi jedynie o nierównem ogrzaniu powietrza, jako o przyczynie prądów powietrznych, gdy tymczasem to zdanie jest fałszywem, bo większe albo mniejsze ocieplenie powietrza nie idzie w parze

zawsze z mniejszem lub większem ciśnieniem, które jest stanowczą wiatrów przyczyną.

W dziełku tego rodzaju przeznaczonem dla wielkiej publiczności powinien autor podawać tylko teorye udowodnione i jasne. Tymczasem nasz autor goni za nowymi nieustalonymi jeszcze teoryami, przeczy dawnym, nowych nie podaje, bo się jeszcze jasno nie skrystalizowały, albo podaje je niedokładnie i tylko czytelnika bałamuci. Tak zrobił na str. 26—27, gdzie zbył lekko całą dawną teoryę o ognisto-płynnym wnętrzu ziemi, do której to teoryi przecież jeszcze tacy mężowie jak Bernhard Cotta, Credner i tylu innych się przyznają, i to bardzo wątpliwym dowodem, że ciepło z głębokością ziemi nie wzrasta; gdy tymczasem i przeciwnicy starej teoryi, jak Henryk Möhl uznają to i prawie wszystkie doświadczenia to stwierdzają. Najbałamutniej podał nam przecież autor w rozdziale V teoryę deszczów. Za podstawę posłużyło tu autorowi widocznie Wojejkowa: Die atmospherische Circulation, w Peterm. Mitt. Ergänzungsheft No. 38. Lecz kto czytał rozprawę Wojejkoffa, ten z trudnością tylko odpozna ją w dziełku p. S. Wojejkoff swój szemat stref deszczowych ustawił tylko dla oceanów, p. S. na str. 38 zastósował ten szemat ogólnie do kuli ziemskiej, co ma przecież nie przeszkadzało bynajmniej zaraz na stronie 39 ten sam szemat przytoczyć jako prawo tylko dla Atlantyku istniejące. Przyczem nie zapomniał dopuścić się niedokładności, które czytelnika bałamucą (cf. S. p. 39 i Wojejkoff p. 9. o kalmach, ich szerokości i zmienianiu położenia geograficznego), a nadto dodać kilka fałszów, o czem będzie niżej. Autor tego nie powinien był czynić, bo jeżeli rozprawę piękną Wojejkoffa dokładnie przestudiował, to mógł dostrzedz, jak teorya jego szwankuje w zastósowaniu do kontynentów, mianowicie przy Afryce i Ameryce południowej i jak zjawiska deszczowe tych kontynentów daleko lepiej tłomaczy teorya Hanna (Allgemeine Erdkunde, bearbeitet von Dr. J. Hann, Dr. F. v Hochstetter und Dr. A. Pokorny Prag. 1872. p. 79—80). Pan S. zbył nas zamiast tego frazesem: „Nadmieniamy przecież, iż na lądzie stałym i na oceanach, licznemi wyspami obsianych, tej regularności dostrzedz nie można.“

Ale nie na tem koniec. Usterki te nie odbierałyby książce p. S. wszelkiej wartości, a zdaniem naszem ma ona wartość chyba negatywną. Czytelnik nauczy się z niej fałszów, a jeżeli miał jakie wiadomości geograficzne, gotów je utracić, a to z powodu że p. S. potrafił na 84 stronach swego dziełka umieścić prawdziwie zastanawiającą liczbę fałszów geograficznych. Podamy małą antologię tych fałszów. Na str. 2. czytamy że potop nastąpił w r. 4963 przed Chrystusem: autor zdaje się zaczerpnął piramidalnej mądrości Piazzi-Smytha, że zna tak dokładnie daty geologicznych zjawisk. Na str. 4. czytamy: „Alpy zajmują 4500 mil □ areału,“ w rzeczywistości 3486 (cf. Leippoldt: Ueber die mittlere höhe Europas. Plauen 1874). Na str. 8: „W Afryce wysychają niemal wszystkie rzeki w porze suchej.“ Przypominamy autorowi, — że o starym Nilu już milczymy, — rzekę Congo, toczącą do morza więcej wody aniżeli Mississipi w czasie najwyższego stanu. Na str. 19. przytoczono średnią wysokość kontynentów podług Humboldta, które to obliczenie, jak dowiódł Leippoldt, przynajmniej dla Europy jest błędne. Na str. 28. aby wytłomaczyć, czemu powietrze cieplejszem jest przy powierzchni ziemi aniżeli w wyższych przestrzeniach, pisze autor: „Tak więc jest ciepło słoneczne istną duszą ożywiającą nasz planet. Oddziałuje ono na wszystkie formy materyi najsilniej z dołu do góry.“ Ostatnie zdanie jest nonsensem. Powietrze jest diatherman, to znaczy, iż przepuszcza promienie słoneczne, nie ogrzewając się samo prawie nic i dopiero ogrzewa się o ziemię jak o piec. Nie dziw, że autor wypowiadający takie zdania nie wiedział, czemu jednak nie wszystko ciepło słoneczne dochodzi do ziemi i na tej samej stronie napisał: „Nimo to pochłania powietrze atmosferyczne na 6000′ wysokości jednę piątą ciepła słonecznego, zanim jego promienie powierzchni ziemi dosięgną.“ Nie powietrze, ale para wodna unosząca się w powietrze częścią odrzuca promienie słońca napowrót w przestrzeń świata, częścią je pochłania. Na str. 31 czytamy: „Pod zwrotnikami np. wynosi różnica temperatury we dnie i w nocy na lądzie stałym 5^0—6^0, na morzu zaś ledwie 1^0—2^0; w strefach umiarkowanych powiększa się ta różnica na lądzie na 12^0—16^0, na morzu na 2^0—3^0.“ Ależ to fałsz, prawda brzmi właśnie przeciwnie. Największą dzienną różnicę temperatury znajdujemy w strefach gorących, najmniejszą pod biegunami. W Christiansburgu na wybrzeżu Gwinei wynosi 11^0, w Saharze 30^0. Na str. 39: „Podług tego rozróżniamy stósownie do oddalenia od ciszy wiatrów strefę deszczów zimowych, jesiennych i latowych.“ Fałsz, niechaj autor się przekona na kartach Wojejkoffa. Na tej samej stronie pisze autor, że przyczyna wysunięcia się strefy ciszy wiatrów na północ równika nie jest wyjaśnioną. Ależ po prostu przyczyną tego jest wyższa temperatura półkuli północnej spowodowana najpierw podziałem wód i lądów, a powtóre przewagą pory letniej nad zimową o 8 dni na półkuli północnej. Nawiasowo powiemy, że o tem ostatniem zjawisku nigdy autor nie wspomniał, chociaż tyle razy musiał potrącić o przyczyny wyższej temperatury półkuli północnej. Na str. 42. czytamy, że passaty i monsuny mają zwykle jeden kierunek; czy w Indyach i Chinach? Str. 53: Słodka woda dochodzi przy 4^0 powyżej zera do najwyższego stopnia swej gęstości, ale nie morska, jak to twierdzi autor; ta staje się najcięższą i najgęściejszą przy 2^0C. Na str. 67. pisze autor, że ku pogodnym zaciszom, jakie się tworzą zimą nad rzeką Leną „dąży nieustannie powietrze okolic sąsiednich.“ Ależ przeciwnie! odpływa z nich, toż to są miejsca najwyższego tłoczenia atmosferycznego. Na str. 68: umieścił autor pustynię Gobi pomiędzy Irtyszem i Ob: rzeczywiście niewiadomość czy też lekkomyślność autora jest niezwyczajną. — Lecz miejsca nam braknie do wyliczenia wszystkich błędów autora, u którego na str. 73 morze powiększa nizką temperaturę lądu, a na str. 78 pora deszczowa panuje w strefie gorącej na północnej półkuli od Października do Marca, a sucha od Marca do Października! — Przytoczymy jeszcze tylko trzy zdania autora, które dowodzą, że z antropologią i etnografią równie dobrze jest nasz autor obeznany jak z meteorologią. — Na str. 73 czytamy, że Yankeesy amerykańscy coraz się robią podobniejsi do pierwotnych mieszkańców, tj. skór czerwonych; na str. 83, że człowiek może na nizkim stopniu oświaty istnieć tylko w pewnych strefach; na str. 84, że w strefach gorących cywilizacya jest niepodobieństwem. Nad pierwszem z tych zdań rozwodzić się nie warto, drugie jest nieprawdziwem, jak doświadczenie, które nam człowieka pokazuje we wszystkich strefach, poucza, a po-

wtórzona na str. 84 za Tomaszem Buckle teorya jest dawno porzuconą teoryjką, której historya zaprzeczyła (cf. Peschel: Völkerkunde).

Rozpisaliśmy się już tak aż nadto obszernie o tej niewielkiej książeczce, a musimy jeszcze wspomnieć i o formie. Jest ona przepełnioną nic nie znaczącemi frazesami, jakich w naukowej książce być nie powinno, np. na str. 70: „Ta ludność (tj. azyatycka) zrosła się i tutaj, co do oświaty, charakteru, sposobu życia i t. p. z przyrodą, tak iż n. p. Arabowie wybitne piętno swego kraju na sobie noszą?“ Proszę nam powiedzieć, co ma czytelnik z tych ostanich słów wywnioskować? — A język! Rozumiemy dobrze, że trudno jest pisać o przedmiotach geograficznych po polsku, gdyż niewyrobiona terminologia wielką dla piszącego jest przeszkodą: ale p. S. często rozumieć nie można. A jeszcze puścił się na tworzenie słów. Zastąpienie wyrażenia północ — wschód przez wielki wschód i td. (str. 37) uważamy za bardzo niefortunne i nierozumiemy zkąd te dziwaczne wyrażenia mają odpowiadać duchowi języka; komicznem zupełnie jest spolszczenie Petersburga na Piotrogród. Coby się stało z nazwiskami miejsc geograficznych, gdyby każdy naród po swojemu je tłumaczył, a nie naginał tylko do dźwięków własnego języka. Pomijamy wyrażenia jak „gorącość,“ „silność,“ pomijamy dziwacznie i błędnie utworzone zdania, jakie można znaleźć na każdej karcie: ale nie możemy pominąć takich usterek, które zmieniają sens zdania. Na str. 44 czytamy: „Miejsca pojedyńcze, mające równe tłoczenie atmosferyczne, połączone linią łukową, zowią się izobary.“ Ależ nie miejsca, lecz te linie zowią się izobary. Na str. 47 tak opisane miejsce starcia się prądu Golfu z prądem morskim arktycznym, iż czytelnik musi przypuszczać, że to się dzieje daleko na południu, a nie przy New-Fundland. Takie i podobne lapsus calami znajdzie czytelnik na innych jeszcze miejscach; na str. 19, 27, 71, 72, 80, 81, 82, etc.

Po tem wszystkiem cośmy przytoczyli uzna zapewne każdy sprawiedliwem nasze zdanie, podług którego dziełko p. S. nie pozytywną, ale negatywną ma wartość dla nauki. *St. W.*

Lucyan Tatomir: Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym. Lwów. 1875. w 16ce str. 147.

152] W czasie ogólnego zainteresowania się wyprawami do bieguna północnego powinna ta książeczka znaleść czytelników w szerokich kołach, dla jakich jest przeznaczoną. Wprawdzie historya dawniejszych wypraw skąpo trochę wypadła i tylko o podróżach i odkryciach ostatnich lat dziesięciu rozpisał się autor obszerniej. Pomimo tego niedostatku zasługuje praca p. T. na zupełne uznanie. Daje nam żywy, jasny obraz bohaterskich usiłowań ludzi, chcących dotrzeć do bieguna, zapoznaje nas z dziką a tyle piękną przyrodą północy, na wstępie zaś daje treściwy przegląd dawniejszych wypraw biegunowych. To wszystko napisane pięknym językiem, co w rzadkich zresztą u nas książkach geograficznych jest wypadkiem nadzwyczajnym. Życzylibyśmy sobie tylko, aby autor obszerniej był wyłożył korzyści, jakie i nauka i handel mogą i muszą odnieść z wypraw podbiegunowych, aniżeli to uczynił na str. 17. Toż Towarzystwo geograficzne londyńskie uważało za potrzebne szeroce rozwieść się nad naukowymi korzyściami wyprawy polarnej w memoryale w roku zeszłym rządowi podanym, który szczęśliwie wywołał tegoroczną wyprawę angielską (cf. Papers and correspondence relating... the arctic expedition of 1875. Presented to Parliament. Lon. 1875), a cóż mówić o potrzebie takich objaśnień dla wielkiej publiczności, dla której ta książka jest przeznaczoną? Z pewnością nasłuchał się autor, tak samo jak krytyk, z ust wykształconych nawet ludzi pogardliwych sądów o celach i korzyściach wypraw arktycznych: tem potrzebniejsze było dokładne wyjaśnienie wszystkich naukowych i handlowych korzyści jakie będą rezultatem tych wypraw. Bardzo pięknie i dokładnie zrobił to prof. O. Delitsch w czasopiśmie „Aus allen Welttheilen“ Marzec 1875: „Die Bedeutung der Nordpolar-Expeditionen für die geographische Wissenschaft.“
St. W.

Nauki prawne.

Dr. Emil Steffenhagen: Deutsche Rechtsquellen in Preussen vom XIII—XVI Jhdt. Leipzig 1875. 8vo str. 248.

153] Książka ta ważniejszą jest jeszcze dla nas niż dla uczonych niemieckich, którzy w bibliotekach swych posiadają cały materyał obecnie przez p. S. spisany i zestawiony. U nas chcąc się dowiedzić, na jakich źródłach rękopiśmiennych prawa niemieckie w dawnych Prusiech się opierają, kto te źródła opisał i wydał, a kto ich historyczne powstanie, doniosłość i związek ocenił, trzebaby przedsięwziąść olbrzymią pracę polegającą na przejrzeniu całej literatury dawnego prawa niemieckiego rozrzuconej nietylko w pojedynczych dziełach ale i w czasopismach, do czego żadna z bibliotek naszych niedałaby dostatecznej podstawy. Mozolną tę pracę uskutecznił z drobiazgową dokładnością p. Steffenhagen zbierając tak gotowy materyał ogłoszony drukiem jako też złożony jeszcze w źródłach rękopiśmiennych. W pierwszym rożdziale spisane są wszystkie pruskie kodexy rękopiśmienne zawierające źródła niemieckiego prawa a przy każdym kodexie zacytowane skrupulatnie rozprawy i dzieła, które o nim bliższą podały wiadomość. Rozdział drugi mieści w sobie systematyczny przegląd źródeł prawa niemieckiego w Prusiech niegdy obowiązujących a w kodexach rzeczonych zawartych. Szereg tych źródeł otwierają zbiory ortylów czyli wyroków wydanych dla miast i wsi pruskich przez sądy wyższe w Magdeburgu, Lubece i Chełmnie. Autor znając literaturę przez się podawaną nietylko z formy ale i z treści, połączył ją w pewną całość zwięzłem opowiadaniem, w którem historyę działalności sądów powyższych podług najnowszych badań skreślił a przytem miał sposobność wykazać, o ile każda z prac przez niego przytaczanych przyczyniła się do rozświecenia rzeczy a zarazem, jakie miejsce zajmują w ogólnym systemie pojedyncze źródła. W podobny sposób przechodzi autor źródła prawa niemieckiego, które wprawdzie nie w Prusiech powstały, ale w kraju tym zdobyły sobie znaczenie, głównie zwierciadło saskie, zwierciadło szwabskie i prawo magdeburskie. W ostatnim wreszcie największym rozdziale obejmuje księgi prawa w samychże Prusiech powstałe. Tu już autor nietylko jest sprawozdawcą z prac poprzednio dokonanych, ale prace te we wszystkich szczegółach naprzód posuwa i uzupełnia. Mając taki podręcznik w ręku, można więc bezpieczniej puścić się na jakąkolwiek pracę ogólną czy szczegółową w dziedzinie prawa nie-

mieckiego w Prusiech, można badania nasze w przedmiocie prawa polskiego w Prusiech łatwiej dopełnić i w wielu punktach znajomością prawa niemieckiego rozświecić.

Chwaląc jednakże pożyteczność pracy p. S. niechcemy jej doniosłości przeceniać. Książka jego jest dowodem pracy tem mozolniejszej, że jej nie towarzyszył talent, któryby pojedyncze wiadomości zużytkował do jakiegoś głębszego poglądu. Praca jego jest tylko dobrą, rozumowaną, systematyczną bibliografią prawniczą urozmaiconą kilkoma wycieczkami obszerniejszej natury, ale nie jest wcale historyą źrodeł prawa niemieckiego w Prusiech. Największym zaś jej brakiem nawet jako bibliografii jest okoliczność, że pomija zupełnie archiwa dawnych sądów prawa niemieckiego w Prusiech i żadnej o nich niepodaje nam wzmianki. Sądzimy zaś, że materyał zawarty w księgach sądowych nierównie jest ważniejszym i obfitszym, niż ten który z kilkudziesiąt powtarzających się kodexów rękopiśmiennych daje się wydobyć i zebrać. Szczupłe dotychczas wiadomości o sądownictwie niemieckiem w Prusiech a w szczególności o sądach wyższych i apellacyach oby jak najprędzej zastąpione zostały pracą opartą na księgach sądowych. *M. B.*

Nauki społeczne.

Ortsrepertorium des Königreiches Galizien und Lodomerien mit dem Grossherzogthume Krakau. Auf Grundlage der Volkszählung vom Jahre 1869 bearbietet von der k. k. **statistischen Centralcommission.** Wien, Druck und Verlag von Carl Gerold's Sohn 1874. str. V i 339 w 8ce.

154] Myśl użycia materyału uzyskanego przy spisie ludności do ułożenia repertoryum miejscowości całego kraju, któreby obok nazw miejscowości podawało jeszcze ilość domów, ludność i główniejsze jej kategorye, oraz inne szczegóły i stanowiło podręcznik informacyjny dla użytku władz i osób prywatnych, jest wcale trafną i okazała się praktyczną wszędzie, gdzie wprowadzono ją w życie. W Austryi dopiero przy ostatnim spisie ludności z 31. grudnia 1869 r. zamierzono podobną pracę i wydano dla każdego kraju koronnego osobne repertorya, z których galicyjskie ukazało się na ostatku. Repertorya austryackie nie odznaczają się obfitością szczegółów, bo podają tylko dla każdego powiatu z osobna abecadłowy spis gmin, a jeżeli gmina składa się z więcej niż jednej miejscowości, wymieniają i te ostatnie, następnie zaś wykazują ilość domów, tudzież ilość ludności męzkiej, żeńskiej i ogólną liczbę ludności w każdej gminie i w każdej miejscowości. Przy końcu dodany jest abecadłowy rejestr gmin i miejscowości. Są to z wyjątkiem rozróżnienia płci szczegóły uznane przez radę związku niemieckiego jako minimum, które powinno było być zawarte w spisach miejscowości (Ortschaftsverzeichnisse) układanych przez państwa związkowe z materyałów spisu ludności z 1. grudnia 1871 r. w skutek polecenia tejże rady. Państwa związkowe nieograniczyły się na owem minimum, Prusy np. wykazały prócz tego przy każdej gminie ilość partyi (Haushaltungen), ilość ludności przy poprzednim spisie z r. 1867, ilość nieobecnych, ilość ślepych, głuchoniemych i obłąkanych, następnie rozróżniły w obrębie ludności obecnej obywateli pruskich i cudzoziemców, wyznawców główniejszych wyznań religijnych, wreszcie podały liczbę osób więcej niż 10 lat liczących a nieumiejących czytać. Przy każdej gminie podano tu zatem 24 cyfr, które mieszczą się w jednym rzędzie na dwóch stronnicach formatu zaledwie o parę linii większego od austryackich repertoryów.

Jeżeli przy tych ostatnich uznano za stosowne ograniczyć się na wspomnianych poprzednio datach, w skutek czego na każdą miejscowość przypada rząd jednostronnicowy i objętość każdego repertoryum zmalała o połowę, zarazem jednak zmniejszył się też o wiele pożytek takiego podręcznika, to należało się spodziewać, że przynajmniej pozostałe daty zebrane zostaną z wszelką możliwą dokładnością, a przedewszystkiem, że repertoryum zawierać będzie zupełnie dokładny spis gmin, a przy każdej gminie podane będą należące do niej a osobną nazwę noszące miejscowości. Nie wiemy, o ile repertorya innych krajów koronnych zadawalniają pod tym względem, o galicyjskiem powiedzieć musimy, że jest ono zupełnie nie zadawalniającem. Ponieważ w Galicyi najniższymi okręgami administracyjnymi są obok gmin obszary dworskie, które też przy spisie ludności tworzyły odrębne okręgi spisowe (Zählbezirke), przeto każdy powiat w repertoryum obejmuje najpierw abecadłowy spis gmin z liczbą domów, tudzież ludności męzkiej i żeńskiej w każdej gminie, a następnie takiż spis obszarów dworskich z temi samemi datami. Otóż ani spis gmin, ani spis obszarów dworskich nie są dokładne. Co do spisu gmin przedmowa nadmienia, że starostwa w wielu wypadkach pomieszały gminy administracyjne (polityczne), o które tu chodziło, z gminami katastralnemi. W skutek tego przesłano manuskrypt repertoryum namiestnictwu do rewizyi, przy której okazało się, że wiele miejscowości połączonych w manuskrypcie z innemi gminami stanowi odrębne gminy, zaś odwrotnie miejscowości wykazane jako gminy odrębne są właściwie częściami gmin. W dość licznych wypadkach, w których rewizya przez namiestnictwo zarządzona nie wyjaśniła należycie stanu rzeczy, zażądano jeszcze wyjaśnień wprost od starostów, jednak nie udało się uchylić w ten sposób wszelkich wątpliwości. Niedokładność w spisach obszarów dworskich według przedmowy ztąd pochodzi, że w niektórych powiatach liczono posiadłości dworskie mające na podstawie §. 9. ustawy o obszarach dworskich wspólnego przełożonego (naczelnika administracyjnego) jako jeden obszar dworski, podczas gdy w innych każda posiadłość dworska uważaną była za osobny obszar dworski, chociażby miała wspólnego z inną posiadłością przełożonego, a nawet choćby składała się z kompleksu gruntów bez domów i mieszkańców.

Odpowiedzialność za takie niejednostajne postępowanie, oraz za mieszanie gmin administracyjnych z katastralnemi, centralna c. k. komisya statystyczna pozostawia władzom galicyjskim a mianowicie starostwom; nam się zdaje jednak, że w pierwszym rzędzie ona sama jest tu winną. Ułożona w centralnej c. k. komisyi statystycznej i uchwalona w radzie państwa ustawa o spisie ludności, nie powiada wyraźnie, że gminy administracyjne mają być okręgami spisowymi, a rzeczą centralnej komissyi statystycznej było też niewątpliwie władze przeprowadzające spis ludności pouczyć, albo wprost przez wskazówkę umieszczoną na formularzu, albo też w inny sposób, które osady należy uważać jako odrębne gminy, które posiadłości

jako odrębne obszary dworskie; powołać się na odpowiednie paragrafy ustawy gminnej i ustawy o obszarach dworskich i uchylić wszelkie wątpliwości w rozumieniu tych paragrafów tak, żeby w tej mierze przy wszystkich czynnościach odnoszących się do spisu ludności postępowano w całym kraju w sposób ile możności jednakowy. Tego nieuczyniono, a co więcej plan opracowania materyału uzyskanego ze spisu ludności (Programm für die Zusammenstellung der Volkszählungsergebnisse) przyjęty przez centralną c. k. komisyę statystyczną postanowił, że repertorya mają zawierać spis gmin katastralnych (patrz Mittheilungen aus dem Geb. der Statistik t. XVIII z. 1. str. 38, oraz V zeszyt urzędowej pracy o spisie ludności: Bearbeitung der Volkszählungsergebnisse str. VII), zatem pomieszał gminę katastralną z gminą polityczną popełniając ten sam błąd, który dziś centralna c. k komissya statystyczna zarzuca starostom galicyjskim. Skoro nie udzielono z góry należytych wskazówek organom podwładnym, wypadało przynajmniej, zarządzając sprostowanie i uzupełnienie materyału, wskazówki te podać i według jednolitych zasad kazać przeprowadzić rewizyę spisów gmin i obszarów dworskich. I to nie stało się, a nawet przedmowa wspomniawszy o różnicach zachodzących w tem co należy uważać za obszar dworski wypowiada, że: die Frage bezüglich der Gutsgebiete war bei der in Lemberg gepflogenen Revision nicht ventilirt worden.

Niemniej wielkim błędem jest brak jakiejkolwiek przewodniej zasady przy wykazywaniu oddzielnych miejscowości składających razem jedną gminę. Ani w ustawie o spisie ludności, ani w instrukcyach nie powiedziano, kiedy jakąś część gminy należy uważać za odrębną miejscowość; przedmowa nie objaśnia nas ani jednem słówkiem, jakiej zasady trzymano się w tej mierze; widocznie zatem i tu pozostawiono rzecz do woli władz najniższych, tj. urzędów gminnych lub starostw przeprowadzających spis w zastępstwie gmin, które uznano za niezdolne do tej czynności: a skutek jest taki, że w skorowidzu Orzechowskiego, który również nie jest zupełnie dokładnym, znajdujemy mnóstwo miejscowości noszących osobną nazwę i stanowiących oddzielne przysiołki, których repertoryum wcale nie podaje; tak np. pod jedną tylko literą N. 52 miejscowości opuszczonych w repertoryum. Nie tu miejsce rozwijać zasady, które należałoby przyjąć w tej mierze, a które zastosowano w innych krajach: kończymy przeto tylko wyrazem żalu, że nie umiano pokierować rzeczy tak, żeby materyał uzyskany przy spisie ludności posłużył za podstawę do ułożenia repertoryum choćby nie obfitego w szczegóły, lecz przynajmniej dającego daty zupełnie dokładne. *T. P.*

Rolnictwo.

M. Marassé: Stosunki gospodarskie Galicyi. Warszawa 1874. — Str. 48. (Odbitka z Encyklopedyi Rolniczej).

155] Dokładna znajomość stosunków krajowych najlepiej może kierować pracą rolników, przemysłowców i stowarzyszeń. Z gorączkową też skwapliwością rozchwytywać zaczęła czytająca publiczność powyższą broszurę p. Marassego, zwłaszcza, że wkrótce po jej wydaniu ogłaszały niektóre dzienniki pochlebne o niej wzmianki. Nie ulega też wątpliwości, że autor napracował się bardzo nad swem dziełem, że chęci miał najlepsze i cierpliwość anielską. Ależ to nie wystarcza!... Główną zaletą podobnej pracy powinna być p r a w d a, a z nią niestety zbyt często autor się mija.

Nie jego w tem wina, że źródła, z których czerpał były fałszywe; ale jego wina, że im zaufał i o mylności ich nie wiedział.

Znamy p. M. jako człowieka niemałych zdolności i nieznużonej pracowitości. Dlatego też ubolewamy bardzo, że tak trudny a swemu wykształceniu wcale obcy wybrał sobie przedmiot. W tem też upatrujemy główny błąd jego. Chybił, że zbytecznie zaufał rzetelności statystycznych wykazów rządowych, a nie udał się po materyały do swej pracy do źródeł prywatnych. Kto istotnie zna stosunek rządu do producentów galicyjskich, ten wie, że żaden z nich nie podaje rządowi rzetelnego obrazu swojej produkcyi, z obawy zupełnie uzasadnionej — ażeby nie zwiększono mu już i tak wygórowanych podatków.

Pan M. czytając w biurze namiestnictwa relacye różnych starostów o produkcyi rolniczej myślał, że to są skarby, które tylko zręcznie skleić i przedmową opatrzyć potrzeba, aby z nich monumentalną stworzyć budowę. Tem też dowiódł właśnie, że naszych stosunków nie zna. Co jednak najbardziej zganić mu musimy, to pominięcie jedynych dobrych źródeł, z których wiadomość o prawdziwej produkcyi rolniczej w Galicyi mógł zaczerpnąć. Mamy tu na myśli bióra komitetów obu towarzystw rolniczych. Wprawdzie do lwowskiego zaglądał autor — bo mu było bliskie. Krakowskie zaś ignorował zupełnie, posługując się w opisie Galicyi Zachodniej albo własną fantazyą, albo cyframi urzędowemi. A nawet w ustępie o u p r a w i e l n u powiada z niewłaściwą w takiej pracy naiwnością, „że „o produkcyi lnu w Galicyi Zachodniej, prócz krótkiej „wzmianki w publ kacyach rządowych, żadnych szczegółowych wiadomości nie posiada.“ Jeżeli już p. M. nie chciał udawać się do komitetu towarz. roln. krakowsk., to mógł był prywatnie prosić o objaśnienie p. St. Star. referenta tej sprawy w komitecie towarz. rolniczego krakowskiego. Nareszcie mógł był przepisać ustęp o uprawie lnu w Galicyi Zachodniej z cennego dzieła barona A r t u r a H o h e n b r u c k a urzędnika ministeryalnego w Wiedniu On tę gałęź rolniczej produkcyi opracował bardzo dobrze, bo wiedział gdzie szukać materyałów, chociaż nigdy w Galicyi nie był; to też przykro nam bardzo, że pracę obcego człowieka o naszych stosunkach możemy cytować jako godniejszą wiary i dokładniejszą od pracy p. Marassego.

W wielu ustępach takowej znajdujemy istne bajki. Tak np. w rozdziale o r y b a c h, opowiada p. M., że hrabia Wit Żeleński produkuje w Słotwinie rocznie 30,000 łososi — i podnosząc tę sztuczną hodowlę, zbywa rzecz całą o gospodarstwie stawowem kilku wyrazami, jak gdyby o niem mówić nie warto. Otóż zapewniamy autora, że hr. Wit Żeleński ani jednego łososia nie wyprodukował. Wprawdzie przed kilku laty jakiś szarlatan namawiał go do założenia sztucznej hodowli ryb, — ale skończyło się na bezowocnej próbie i hr. Ż. zaniechał kosztownej zabawki, nie doczekawszy się ani jednej dorosłej ryby. Natomiast radzimy panu M., aby się przejechał w powiaty wadowicki i bialski, i rzucił okiem na znakomite i wielkie stawowe gospodarstwo w dobrach Arcyksięcia Albrechta, hr. Maurycego i hr. Artura Potockich, Chwaliboga, Gorczyńskiego i w. i. Niechby się przypatrzył kilkumilo-

wym wodociągom, kutym w skałach lub sypanym niegdyś rękami niewolników tatarskich, a prowadzącym do dziś dnia wodę do stawów. Te zabytki z czasów rządnych Jagiellonów cenią i podziwiają cudzoziemcy, ale autor „Stosunków gospodarskich w Galicyi“ nic o nich nie wie, bo o tem nie wspominają wykazy rządowe!....

Pisząc o szkole rolniczej w Czernichowie, nie uznał autor za potrzebne udać się do dyrekcyi jej albo kuratoryi po objaśnienia, lecz wolał pisać brednie z własnej wyobraźni wysnute. Gdyby miał chociaż przed oczami Statut szkoły i sprawozdanie kuratoryi z roku 1870/71, do którego to roku odnosi swoje podania, nie byłby nazwał tej szkoły szkołą dla parobków, do której przyjmowani być mają młodzi włościanie, ani też nie przytaczałby był jako dochód tej szkoły sumy niższej, niż same opłaty od uczniów w sprawozdaniu tem wymienione. Chcąc pisać o towarzystwie rolniczem krakowskiem, sądzimy, że powinien był autor udać się po rzetelne o niem wiadomości do prezydyum tegoż towarzystwa, i przeczytać statut onego, oraz sprawozdania z posiedzeń. Jeźli zresztą postanowił koniecznie najdłuższą drogą dochodzić do celu i na obcych materyałach oprzeć swą pracę, to mógł przepisać ustęp o towarzystwie krakowskiem z kalendarza rolniczego wydawanego po niemiecku w Pradze przez p. Komersa, który chociaż nigdy Galicyi nie widział i pretensyi nie ma do znajomości tutejszych stosunków, jednakże prawdziwsze podał wiadomości o naszych towarzystwach rolniczych, aniżeli p. Marassé.

Kilku słowami usprawiedliwimy ten zarzut.

Towarzystwo rolnicze krakowskie nie w roku 1850, ale jeszcze za czasów rzeczypospolitej krakowsk. rozpoczęło swoje istnienie, bo już w r. 1845 Senat rządzący ówczesny zatwierdził jego statut. Wypadki 1846 roku przerwały jego czynność, ale od 1847 r. znowu działać zaczęło. Po Darowskim byli prezesami Adam hr. Potocki, Piotr Michałowski i Michał Badeni. Od r. 1862 jest prezesem hr. Henryk Wodzicki. Ani towarzystwo rolnicze nie powołało własnemi funduszami do życia szkoły w Czernichowie, ani też hr. Adam Potocki wyłącznie jej nie uposażył. On bowiem dał tylko 5,000 złr. austr., a kraj cały składał się na jej ufundowanie i złożył 32,000 złr. austr. Z końcem 1871 roku towarzystwo nie miało 600 członków, jak to twierdzi p. M., ale tylko 393. Składka roczna wynosi 15 złr. austr. — Dochody towarzystwa nie wynosiły nigdy 10768 złz. austr. jak to podał p. M.; bo chociaż cyfra taka jest w aktywach towarzystwa w r. 1870, to jednak wyraźnie z zestawienia jej przekonać się było można, że 900 złr. pochodziło z zaciągnięcia pożyczki, — 9,300 złr. od szkoły czernichowskiej tytułem zwrotu pożyczki, — a dochód rzeczywisty towarzystwa w r. 1870 wynosił 568 złr. austr. Pomylił się więc p. M. o skromną sumkę 10,200 złr. w. a.

O działaniu towarz. rolnicz. krakow. pisze p. M., że ono nie zajmuje się kwestyami rolniczemi, lecz politycznemi. Czy tych wiadomości udzieliło mu namiestnictwo, czy dyrekcya policyi?... A do jakiejże kategoryi zaliczyć raczy: urządzanie wszelkich wystaw rolniczo-przemysłowych w Krakowie w r. 1859 i 1869 oraz w Tarnowie, Rzeszowie i Białej? premiowanie dobrych obór w kraju, rozdawanie nagród za bydło hodowane przez włościan—sprowadzanie pożytecznych machin i narzędzi na model, zakupywanie licznych rozpłodników różnych ras, — wypracowania planów drenarskich i irrygacyjnych, — rozdawanie nasion lnu i warzywnych po wszystkich powiatach Galicyi zachodniej — zbieranie dat statystycznych— urządzanie wystaw nasion i nabiału i t. p.?

Jeszcze dotknąć musimy ważnej a widocznie przez autora lekceważonej kwestyi. Jest nią nauka rolnictwa. Znać zapomniał autor o tej prawdzie, że chcąc pisać o jakim przedmiocie, trzeba go wprzód poznać i dobrze się nauczyć. Autor zdradza na każdym kroku zupełną nieświadomość nauki rolniczej.

Mówiąc np. o bydle rogatem, powiada, że w Galicyi są dwie onego rasy: jedna „mniejsza“ — druga „siwa.“ Przypomina nam to wstrętne dzieło niemieckie Dra Rohrera o Galicyi, który pisze, iż są u nas dwie rasy zwierząt podobnych do koni, jedna rasa zwie się „hetta,“ a druga „wiśta.“ Czyż p. M. nie powinien wiedzieć i wspomnieć w tak szumnie zatytułowanej broszurze, że jest u nas liczna rasa bydła górskiego w Karpatach i bydła nizin leśnych w puszczy Sandomierskiej — oprócz siwej podolskiej i owej, śmiesznie przez p. M. nazwanej rasy „mniejszej?“

Pisząc o koniach, czy nie powinien zwrócić uwagi, że Galicya więcej produkuje koni, aniżeli ich własnym owsem wyżywić może?

Pisząc o lasach, czy nie powinien choć kilku słowami wskazać na wyborne urządzenie gospodarstwa leśnego w Krzeszowicach, Izdebniku, Myślenicach, Makowie i w. i.? Wiele jeszcze byłoby do wytknięcia,— ale ograniczymy się już tylko na tem, cośmy powyżej przytoczyli.

Na zakończenie zaś powtarzamy raz jeszcze, że szkoda mozolnej pracy p. Marassego, bo broszura jego nawet za materyał do podobnego opisu służyćby nie mogła, skoro nieprawdziwe cyfry i wiadomości zawiera. *K. T. R. K.*

Jan Mateif: O wyleganiu zboża. Poznań 1874, str. 31. 8vo.

156] Wszystkie owoce dotychczasowych badań w sprawie chorobliwego wylegania zbóż zebrał autor skrzętnie i zestawił w swej broszurze. Nie mógł wprawdzie podać stanowczo środków zaradczych przeciw tej klęsce, gdyż ani nauka ani doświadczenie nie zbadało dotychczas gruntownie przyczyn wylegania zbóż. Rozjaśnił jednak wielce tę ważną dla rolnictwa sprawę; dowiódł, że mylnie poczytywano za przyczynę wylegania, brak kwasu krzemowego w tkance roślinnej, — i nareszcie podał wskazówki ważne, bo na doświadczeniu oparte, jak zmniejszyć można skutki wylegania zboża.

Treść więc tej książki jest ciekawa i bardzo pożyteczna dla każdego rolnika. Szkoda jednak, że forma nie odpowiada treści. Przedstawienie rzeczy tak niejasne i zawiłe a wyciągi z różnych autorów tak niezręcznie z sobą powiązane, że czytelnik z trudnością i znużeniem ocenić może istotną wartość tej pożytecznej pracy pana M. — Godziłoby się także, by nad językiem ojczystym popracował autor szczerze, bo najpożyteczniejszą książkę zepsuje takim stylem i składnią jakich użył w powyższej pracy. Dość przytoczyć jedno z wielu zdań na poparcie naszego zarzutu: (str. 30) „Dziś nauka jest w stanie wyjaśnić nam przedawnione pojęcia.“ Wyznajemy z pokorą, że zupełnie nie rozumiemy tego zdania. Również nie potrafimy wyobrazić sobie jak Sachs „experymentował“

pomimo że czytamy na str. 19 wyraźnie: „odciął kawałki ździeheł w ten sposób: że każdy posiadał we środku jedno kolanko powyżej i poniżej będący z niem w związku członek; dolną powierzchnią cięcia umieścił w mokry piasek w ten sposób, że ten kawałek źdźbła poziomo spoczywał w wilgotnej przestrzeni w skrzyni metalowej.“ Korekta także bardzo niedbała.

T. L.

Matematyka i fizyka.

Jan Nepom. Franke (Prof. Akad. Techn. we Lwowie): **Studya analityczne nad ruchem ciał stałych.** Pamiętnik Wydziału matem.-przyrodn. Akad. Umiej. w Krakowie. T. I, str. 65—100. 4°.

157] Rozprawa Prof. Franke pod powyższym tytułem rozpoczyna się rozważaniem analitycznem ruchu punktu materyalnego. Ruch krzywolinijny punktu rozpada się na trzy ruchy prostolinijne w kierunku osi współrzędnych. Pochodna Sgo rzędu zmiennej współrzędnej x, y lub z, względnie czasu nazywa się przyspieszeniem Sgo stopnia, pierwszo, drugo lub trzeciorzędnem. — Z przyspieszeń Sgo stopnia pierwszo, drugo i trzeciorzędnego wypada przyspieszenie zupełne Sgo stopnia. W ogólnem wyrażeniu na przyspieszenia Sgo stopnia zakładając $S = 0$ lub $S = 1$, otrzymujemy wzory na przyspieszenie zero lub pierwszego stopnia, czyli wzory na chyżości i na przyspieszenia zwykłe. Przyspieszenia zwykłe rozdziela się na przyspieszenia styczne i normalne.

Następnie rozprawa zajmuje się ruchem ciała stałego; podane są tu wzory na przyspieszenia Sgo stopnia dla dowolnie obranego punktu ciała. Punkt, dla którego przyspieszenia Sgo stopnia są równe zeru, nosi nazwę środka przyspieszeń Sgo stopnia. W ogólności dla $S > 0$ istnieje tylko jeden środek przyspieszeń Sgo stopnia; w szczególnych przypadkach, np. w ruchu ruletowym, istnieje cały szereg środków przyspieszeń Sgo stopnia, leżących na jednej linii prostej. Jednaka wartość przyspieszeń Sgo stopnia odpowiada punktom ciała, leżącym na elipsoidach, których środek przypadł w środku przyspieszeń.

Zakładając w wyrażeniach na przyspieszenia Sgo stopnia $S = 0$, wypadają wzory na chyżości dowolnie obranego punktu ciała. Z nich wynika:

1) że w ogólności nie istnieje żaden środek chyżości, a w szczególnych przypadkach, jak w ruchu ruletowym lub w ruchu ciała naokoło nieruchomego punktu, istnieje znowu w każdej chwili cały szereg środków chyżości, położonych na jednej linii prostej;
2) że punkta, posiadające chyżości jednakiej wielkości, leżą na walcach eliptycznych;
3) że elementem każdego ruchu ciała jest w ogólności ruch śrubowy około pewnej osi, a każdy ruch skończony ciała stałego może być w ogólności uważany za ciągłe ustępstwo ruchów śrubowych.

Zakładając w wyrażeniach na przyspieszenie Sgo stopnia $S = 1$, otrzymujemy wzory na przyspieszenia zwykłe dla dowolnie obranego punktu ciała. Z nich wypadają przyspieszenia styczne i normalne. Punkta, dla których przyspieszenia normalne znikają, są punktami przejścia kolei. Podanem jest w rozprawie równanie analityczne na miejsce geometryczne takich punktów ciała, które przedstawia krzywą czwartego stopnia o podwójnej krzywiznie.

Dalej rozprawa zajmuje się powierzchnią centralną (miejscem geometrycznem chwilowych osi ruchu śrubowego) i powierzchnią rodzącą (miejscem geometrycznem linii złączonych z ciałem, przychodzących kolejno w położenia chwilowych osi ruchu śrubowego). Wkońcu jest podane zastosowanie wyprowadzonych wzorów do badania ruchu poszczególnych części ciała.

Taka jest treść rozprawy Prof. Franke; widzimy z niej, że wszystko to, co autor wyprowadza o ruchu ciał stałych jest już znanem z prac poprzedników, jakimi byli szczególniej: Chasles Jonquières, Poinsot, Stegmann, Resal, Schell i Somoff. Zasługą autora jest jednak, że wszystkie twierdzenia wyprowadza podług jednej metody analitycznej, łącząc przytem teoryę chyżości z teoryą przyspieszeń za pomocą ogólnej teoryi przyspieszeń Sgo stopnia.

Za mało, podług naszego zdania, jest rozwiniętą rzecz o przyspieszeniu wyższych stopni nad pierwszy; autor nie wykazuje, czy przyspieszenia wyższych stopni nad pierwszy przyczyniają się w czemkolwiek do ułatwienia badań ruchu ciał stałych. Byłoby tu pole dla autora do wykazania większej samodzielności, bo to przedmiot nowy, dopiero przez Somoffa cokolwiek obrobiony.

Autor powprowadzał do swej rozprawy nowe nazwy techniczne; niektóre z nich radzibyśmy zastąpić innemi. I tak nad wyrażenia kolej punktu, system geometryczny, przyspieszenie Sgo stopnia pierwszo, drugo lub trzeciorzędne, powierzchnia centralna lepszemi może byłyby wyrażenia: linia drożna punktu lub droga punktu, układ geometryczny, przyspieszenie Sgo rzędu ruchów współrzędnych, powierzchnia kierownicza.

W ogólności autor wykłada rzecz całą jasno i z pewną elegancyą; rozprawę czyta się z wielkiem zajęciem, oczekiwać też będziemy z niecierpliwością zapowiedzianych przez autora dalszych prac w tym samym przedmiocie.

E. S.

Nauki przyrodnicze.

E. Janczewski: Poszukiwania nad wzrostem wierzchołkowym korzeni u roślin okrytoziarnowych. W Pamiętniku Akademii Umiejętności w Krakowie w Tomie I, 1874. str. 2, Tabl. III—VII. 4to, i w osobnej odbitce str. 20, Tabl. 5.

Tenże: Poszukiwania nad wzrostem korzonków u roślin ziarnowych. Pamiętn. Akad. Umiej. w Krakowie, Tom II, 1875, str. 1—15. Tabl. I, II. 4to, i w osobnej odbitce str. 15.

158] W nauce tak niedawnej jak anatomia roślin, której podstawy zostały położone dopiero w drugiej połowie bieżącego stulecia, wiele zadań nawet pierwszorzędnego znaczenia pozostaje jeszcze do rozwiązania. I tak przed kilku zaledwie laty mniemano, że oś roślin okrytoziarnowych równie jak i rodniowców rośnie za pomocą jednej komórki twórczej. Pierwszy Hanstein okazał, że jej tam nie ma, a natomiast podał, że wierzchołek osi jest zajęty przez trzy pokrywające się tkanki, z których tak nazwany dermatogen daje następnie początek naskórkowi, periblem — korze, a plerom — wiązkom i rdzeniowi. W pracy swej wspomina Hanstein

że w korzeniach roślin okrytoziarnowych te trzy pierwotne tkanki odróżnić się dają i że czapeczka ich powstaje przez dzielenia komórek naskórka, biegnące równolegle do powierzchni korzenia. Zresztą szczegółowe zbadanie tego przedmiotu zdał Hanstein na ucznia swego Reinkego. Ten przejąwszy się może zbytecznie przekonaniami swego mistrza, potwierdził w zupełności jego poglądy i podał, że korzenie wszystkich roślin okrytoziarnowych rosną według tejże samej modły. Plerom i periblem mają pochodzenie odrębne, a czapeczka powstaje przez poprzeczne, równoległe względem siebie, podziały komórek dermatogenu. Pan J. w pracy swej doszedł do zupełnie odmiennych rezultatów od Reinkego; przekonał się bowiem, że korzenie roślin okrytoziarnowych przedstawiają cztery różne wzory wzrostu wierzchołkowego. Co więcéj, sumienne i wyczerpujące zbadanie przedmiotu przekonało autora, że i teorya Hansteina co do pochodzenia czapeczki i składu korzeni z trzech jakoby pierwotnych tkanek (dermatogenu, periblemu i pleromu) jest po części błędną. W skutek tego autor nie przyjmuje słownictwa Hansteina, ale nazywa tkanki napotykane w korzeniach: walcem środkowym, korą i przyskórkiem (epidermis).

Pracę rozpoczyna przegląd literatury odnoszącej się do przedmiotu. Dalej pan J. wykazuje, że są trzy sposoby poszukiwań wzrostu wierzchołkowego korzeni i że z tych wybrał na początek metodę anatomiczną. Następnie zaś przechodzi do szczegółowego opisu wzrostu korzeni w każdym z czterech przez siebie odkrytych wzorów.

Do wzoru, który autor nazwał pierwszym, należą nieliczne rośliny jednoliścienne, jak żabiściek i topian. Korzenie ich składają się w wierzchołku z czterech pierwotnych tkanek zupełnie od siebie niezależnych, to jest: czapeczki, naskórka, kory i walca środkowego. Czapeczka po bardzo krótkim czasie utraca zdolność odnawiania się i odpada; pochodzenie jej nie dało się tu wyjaśnić.

We wzorze drugim spotykamy liczne dwuliścienne, jak: tatarkę, słonecznik, piórnik, rzewnię, wierzby. Tutaj walec środkowy i kora są tkankami zupełnie od siebie niezależnemi. Kora pokryta jest u wierzchołka tkanką czapeczkorodną, która przez poprzeczne dzielenia się daje początek czapeczce; czynność tej ostatniej ustaje dowierzchołkowo, a te komórki czapeczki, graniczące z korą, które przestają się już dzielić, zamieniają się stopniowo w naskórek. Wierzchołek więc korzenia zajęty jest przez trzy tylko pierwotne tkanki. To jest właśnie wzór, pod który Reinke starał się podciągnąć wszystkie rośliny okrytoziarnowe. Budowę wierzchołka korzeni, należących do tego wzoru, opisał on zupełnie zgodnie z panem J.; dowodził tylko, że czapeczka powstaje przez dzielenia się równoległe komórek naskórka, mającego pokrywać i wierzchołek kory. Porównanie rysunków korzenia tej samej rośliny, np. słonecznika, podanych przez Reinkego i pana J., wystarcza najzupełniej do przekonania się kto ma słuszność. Reinke bowiem podał rysunki zszematyzowane gwoli swej teoryi, tak dalece, że najzupełniej mijają się z rzeczywistością.

Do trzeciego wzoru należą liczne rośliny jednoliścienne, jak: czosnek, jęczmień, pszenica, kukurydza, osoka, tatarak itd. Tutaj walec środkowy i czapeczka są tkankami od innych niezależnemi. Walec środkowy spojony jest w wierzchołku z czapeczką przez kilka obok siebie stojących komórek, które przez poprzeczne dzielenia się dają początek korze. Te z nich, które graniczące z warstwą czapeczkorodną przestają się już dzielić, zamieniają się stopniowo w naskórek. I tutaj więc, jak w poprzednim wzorze, spotykamy w wierzchołku korzenia trzy tkanki pierwotne dobrze wyróżnione.

W czwartym wzorze znajdujemy dwuliścienne z pokrewieństwa motylkowatych i dyniowatych. Tkanki pierwotne nie są tu wyróżnione w wierzchołku. Spotykamy tam warstwę miazgową poprzeczną, prostopadłą do osi korzenia, która przez dzielenia się poprzeczne daje z jednéj strony początek walcowi środkowemu i korze, z drugiej odmładza część środkową czapeczki. Warstwa miazgowa zstępuje po za granicę kory, tworząc warstwę czapeczkorodną boczną, która odmładza boczne części czapeczki. Komórki czapeczki, wytworzone przez tę boczną miazgę a stykające się z korą, i to te, które przestają się już dzielić, zamieniają się stopniowo w naskórek.

Następuje teraz zestawienie otrzymanych wypadków, które autor rozpoczyna od zwrócenia uwagi czytelnika na fakt, że z czterech wzorów wzrostu korzeni dwa tj. pierwszy i trzeci należą do jednoliściennych, a dwa inne właściwe są tylko dwuliściennym. Dalej podaje autor, jakim zmianom ulegają: czapeczka, naskórek, kora i walec środkowy we wszystkich czterech wzorach. Wreszcie porównywa kolejno te tkanki pierwotne u roślin okrytoziarnowych z jednej a u rodniowców naczyniowych z drugiej strony, i dochodzi do przekonania, że chociaż w tych dwóch wielkich grupach roślinnych wzrost wierzchołkowy korzenia odbywa się tu za pomocą jednej komórki, tam całą ich grupą, to jednakże rozwój pierwotnych tkanek uskutecznia się w obu razach w sposób zupełnie analogiczny.

159] Niespodziewane rezultaty, jakie pan J. w tej pracy otrzymał, i odkrycie aż czterech wzorów, według jakich wzrost wierzchołkowy korzeni odbywa się u roślin okrytoziarnowych, skłoniły go, jak się dowiadujemy z przedmowy drugiej rozprawy, do nowych poszukiwań nad sposobem powstawania korzonków. Nowa ta praca pozostaje w bezpośrednim związku z pierwszą, a obie dopełniają się wzajemnie. Rozpoczyna ją przegląd literatury przedmiotu, obejmujący streszczenie poprzednich badań Negelego, Leitgeba i Reinkego. Bez gruntownego zapoznania się z budową jakiegoś narzędzia, niepodobna jest zrozumieć należycie historyi jego rozwoju. Dlategoto zapewne poszukiwenia Negelego i Leitgeba nie dały rezultatów otrzymanych przez pana J., chociaż według autora są one bez porównania sumienniejsze od nowszej pracy Reinkego. Ten ostatni szematyzując rysunki starał się wykazać, że korzenie wszystkich roślin okrytoziarnowych powstają w ten sam sposób.

Pan J. doszedł do nader odmiennych wypadków; nietylko bowiem znalazł cztery wzory powstawania korzonków odpowiadające mniej lub więcej czterem różnym sposobom ich wzrostu, ale wykazał dalej że różnice, jakie się napotyka pomiędzy różnemi roślinami jednego i tego samego wzoru, mogą być dość znaczne. Autor zmienił tu porządek wzorów nazywając d r u g i poprzedniej pracy t r z e c i m — i odwrotnie, przez co rośliny jednoliścienne i dwuliścienne obok siebie pomieszczone zostały. Poszukiwał on ze wzoru pierwszego topian; z drugiego żabieniec, strzałkę i kukurydzę;

z trzeciego tatarkę, rzodkiew i słonecznik; z czwartego cieciarkę, groch, fasolę i dynię; z piątego (właściwego nagoziarnowym, a zbadanego już pierwej dokładnie przez E. Strasburgera) sosny i jodły, i opisuje wszystkie szczegółowo. My ograniczymy się na streszczeniu wyników ogólnych, które autor przy końcu swej pracy zamieszcza.

W roślinach należących do wzoru pierwszego walec środkowy i kora ich korzonków powstają z warstwy korzonkorodnej korzenia macierzystego. Naskórek zaś i warstwa czapeczkorodna wytwarzająca czapeczkę zawdzięczają swój początek warstwie korowej wewnętrznej korzenia. We wzorze drugim znajdujemy pochodzenie walca środkowego i kory podobne jak w pierwszym, chociaż u kukurydzy i część warstwy ochronnej zgrubia korę korzonka i przyczynia się do rozwoju jego naskórka. Z nielicznych wierzchołkowych komórek kory korzonka (nie korzenia, jak przez pomyłkę widocznie zamieszczono na str. 12) wytwarza się jego warstwa czapeczkorodna, a zewnętrzna część czapeczki powstaje jużto wyłącznie już też w przeważnej części z warstwy ochronnej starego korzenia.

W roślinach wzoru trzeciego nietylko walec środkowy i kora, ale i warstwa czapeczkorodna korzonka powstaje z warstwy korzonkorodnej korzenia macierzystego. Warstwa ochronna tego ostatniego zachowuje się bardzo różnie względem korzonka; i tak u rzodkwi biernie, w tatarce otacza go ze wszech stron warstwą jednokomórkową, a w słoneczniku przyczynia się do budowy czapeczki. We wzorze czwartym tylko walec środkowy korzonka powstaje z warstwy korzonkorodnej korzenia; jego kora zawdzięcza swój byt warstwie ochronnej, oraz jednej lub dwom sąsiednim warstwom kory korzenia macierzystego. Inna część kory wytwarza bardzo późno warstwę czapeczkorodną korzonka.

Walec więc środkowy korzonka we wszystkich wzorach, a jego kora w trzech pierwszych, mają jednakowe pochodzenie od warstwy korzonkorodnej starego korzenia. Warstwa czapeczkorodna powstaje we wzorach pierwszym i czwartym z kory, a w drugim i trzecim z warstwy korzonkorodnej korzenia macierzystego, chociaż w budowie czapeczki wzorów drugiego i trzeciego może brać udział w rozmaitym stopniu i warstwa ochronna korzenia.

Zamykają rzecz wnioski teoretyczne, zawierające porównanie co do znaczenia różnych warstw lub tkanek pierwotnych w wytwarzaniu korzonków, u roślin ziarnowych z jednej, u rodniowców naczyniowych z drugiej strony.

Żeby dopełnić wiernego obrazu obu prac, dodać jeszcze wypada, że zrozumienie rzeczy ułatwiają w nich tablice, wykonane dobrze z rysunków widocznie wybornych, zadziwiających swoją dokładnością. Rysunek w pracy anatomicznej jest rzeczą niezmiernie ważną; pozwala on od razu sądzić o ścisłości badań autora. Mieliśmy sposobność sprawdzać poczęści poszukiwania pana J., i zaręczyć możemy, że jego rysunki odpowiadają wszelkim wymaganiom i są dokładne aż do drobiazgowości.

Obie prace napisane są językiem jasnym, stylem aż do lakonizmu zwięzłym. Musimy tylko zwrócić uwagę autora na następujące wyrażenia napotkane w pierwszej pracy, jak: „ograniczę się do przytoczenia robót“ (str. 1), „młody korzeń niósł czapeczkę“ (str. 4), „tej komórki brakuje“ (str. 16), które grzeszą przeciw językowi. Wreszcie w tej samej pracy na str. 12 zamiast: „wytwarza drzewo“ powinno być „wytwarza drewno“.

W ogóle uważane prace pana J. są jednemi z tych rzadko zdarzających się klasycznych poszukiwań, które niezmiernie naprzód posuwają naukę. Nietylko bowiem wzrost korzenia zbadano wyczerpująco, a powstawanie korzonków opracowano gruntownie, ale zwalono także teoryę Hansteina o mających jakoby istnieć trzech pierwotnych tkankach roślinnych. Panu J. jeden tylko zarzut zrobić można, tj. że cztery przez siebie odkryte wzory wzrostu korzeni za zbyt odrębne zdaje się uważać. Wprawdzie w drugiej pracy znajdujemy i pod tym względem postęp, gdyż zmieniono porządek wzorów i pomieszczono tym sposobem obok siebie zbliżające się więcej wzory jedno i dwuliściennych. Lecz zdaniem naszem można pójść i dalej, i powiedzieć, że istnieją właściwie tylko dwa wybitne wzory wzrostu korzeni: jeden właściwy jedno, a drugi dwuliściennym. I tak wzór kukurydzy różni się od wzoru topianu tem tylko, że w pierwszym naskórek nie tworzy jednociągłej warstwy, lecz jest w wierzchołku przerwanym. Z drugiej strony wzór cieciarki różni się znów od wzoru słonecznika tem tylko, że tutaj kora i walec środkowy nie są w wierzchołku zamknięte. Nawet te dwa wielkie wzory dają liczne punkty porównania; tak np. we wzorze słonecznika naskórek zostaje w takim samym związku z czapeczką, jak we wzorze kukurydzy naskórek z korą.

Wreszcie pracami temi położył pan J. zasługi nietylko dla botaniki; powinniśmy mu być bardzo wdzięczni za ogłoszenie ich pierwotne w naszym języku. Niewielu mamy naturalistów, a i ci, którzy istnieją, albo piszą w obcych językach, albo co gorzej, obcym bogom palą kadzidła; dlatego też nasze słownictwa (z wyjątkiem chemicznego) są dopiero w zawiązku. Wyrażenia techniczne, które pan J. wprowadza, przyjmujemy i uznajemy je za wyborne z następującemi zastrzeżeniami. Wszyscy nasi pisarze używają na wyrażenie epidermis — **naskórek**; nie godzi się więc tak utartego wyrazu zmieniać na **przyskórek**. Scheitelzelle tłomaczy pan J. raz przez „**komórka wierzchołkowa**“ (str. 1), drugi raz przez „**komórka odnowcza**“ (str. 6). Oba wyrażenia nie są dość ścisłe, bo cechą tej komórki nie jest ani położenie ani odnawianie już istniejących tkanek, ale przedewszystkiem wytwarzanie nowych; najlepiej więc będzie nazwać tę komórkę „**twórczą**“. Pericambium tłomaczy autor przez „warstwa korzonkorodna“; wyraz ten, choć tu trafnie użyty, wypadnie zmienić ze względu na różne znaczenie tej warstwy u rodniowców. Nareszcie uważamy za bardzo szczęśliwą zmianę, że pan J. w drugiej pracy tłumaczy archegoniatae przez „rodniowce“, kiedy w pierwszej nazywał je „rodniczkowemi“.

Obie te prace ukazały się obecnie w tłomaczeniu francuskiem w Annales des sciences naturelles (V série, XX vol., f. 162—228, pl. 13—20). Drobne dodatki, które tu zostały poczynione przez autora, nie zmieniają jednak w niczem treści, którąśmy powyżej podali.

J. T. R.

Powieści.

J. I. Kraszewski: Brühl. Opowiadanie historyczne. Tomów 2. T. I. str. 206, T. II. str. 210. Warszawa, Gebethner i Wolff 1875. 8vo.

160] Krytyka oddawna i jednogłośnie przyznała autorowi znakomity talent odtwarzania przeszłości w powieściach historycznych; a ilekroć wyjdzie z pod pióra autora nowa powieść historyczna, zdanie powyższe należy tylko potwierdzić.

Ale taż sama krytyka, która przyznaje autorowi powyższą zaletę, naraża się poniekąd również na krytykę, a przynajmniej na to, że możnaby jej stawić trudne dosyć pytanie: zkąd ta pewność, iż przeszłość została tak doskonale odtworzoną? Przecież fakta historyczne stanowią tu tylko ogólne zarysy, a koloryt cały jest wynikiem szeregu drobnych faktów i wydarzeń, dyalogów i rysów psychologicznych, których po największej części nie znajdzie w żadnych dokumentach, w żadnych pamiętnikach ani ustnych podaniach, jednem słowem w żadnych pomnikach historycznych; tylko dla czasów nam bardzo bliskich lub wyjątkowo pod tym względem szczęśliwych, pewien zasób takich drobnych faktów i t. d. posiadamy. — Pewności też zupełnej tu nie ma i być nie może. — W powieściach bowiem historycznych, stoi autor na tymże samym gruncie psychologicznym, jak w powieściach innego rodzaju; a jeżli z historyi czerpie fakta i ogólne rysy, to wykończenie pojedynczych postaci, artystyczne powiązanie faktów i ugrupowanie tychże około głównych osób, jest tu prawie wyłącznie dziełem autora i jego fantazyi, umiejętne zaś ustawienie tych osób wśród stosunków i okoliczności, które z czasami obecnemi mało lub zupełnie nie mają związku, i nadanie im ruchów swobodnych a harmonizujących z otaczającym je ówczesnym światem takim, jakim go z pomników historycznych znamy, daje tego rodzaju utworom koloryt odrębny, który pojmiemy, jeżeli pójdziemy za intencyą niemal autora, i porwani zostaniemy żywością jego opowiadania.

Postać historyczna w powieści, ma tę wyższość nad innemi, że przykuwa więcej uwagę czytelnika i budzi daleko większy interes — a jeżli tylko autor, obeznany dobrze z gruntem historycznym, przedstawi skończony obraz ówczesnego świata i natchnie każdą postać życiem, wtedy czytelnik łatwo się przejmie tym światem, i mimowoli przyzna, że autor odtworzył przeszłość w całej pełni i harmonii

Trudneby jednak a nawet niepożyteczne zadanie podejmowała krytyka, gdyby stanęła na gruncie czysto historycznym w ocenieniu powieści historycznej; jak skoro bowiem nie byłaby w stanie wykazać anachronizmów i jaskrawych błędów, dobrowolnie pominąć by musiała resztę, i to tę resztę, która w powieści niepoślednie zajmuje stanowisko. — Tém mniej stósowną byłaby taka krytyka w ocenieniu powieści historycznych Kraszewskiego, w których widoczną jest na każdym kroku doskonała znajomość historyi; dlatego to pomijając stronę historyczną, ośmielimy się wyrzec na wstępie spostrzeżenie, iż postać Brühla nie nadaje się widocznie do powieści historycznej, jak skoro z pod tak mistrzowskiego pióra wyszła nieco za blado.

W dwu tomowej tej powieści główną oczywiście postacią jest Brühl, ubogi szlachetka z Turyngii, który od prostego pazia doszedł do stanowiska pierwszego ministra, dzierżącego w swych rękach losy całej Saksonii, wolność i wolę niemal królewską, i losy wszystkich, co go otaczali. — Do takich niezmiernych wpływów i potęgi doszedł Brühl niepospolitemi zdolnościami, niesłychaną przebiegłością, szeregiem niecnych intryg, i zaparciem w sobie wszelkich uczuć, jakie posiadać może człowiek. — Temat więc do powieści znakomity, a czytelnik zaciekawiony jest naturalnie, już nie rezultatami zabiegów Brühla, o których dowiedzieć się może z książki historycznej, ale tym szeregiem ciekawych i tragicznych sytuacyj, które towarzyszą zwykle wszelkiemu podstępowi i intrydze prowadzonej przez takiego mistrza, jakim był Brühl, a opisanej piórem takiego mistrza, jakim jest Kraszewski.

Przez cały atoli pierwszy tom i przez połowę tomu drugiego nie znajdzie może czytelnik tego, czego oczekiwał. — Przed oczami jego przesunie się mnóstwo postaci obojga płci, urzędników i faworytów królewskich, dam wielkich, spiewaczek i aktorek; większa część z tych osób odgrywa rolę chwilową tylko, lub nie odgrywa roli żadnej; każda z nich nosi w sercu wielkie pragnienia, nienawiść lub intrygę, które atoli nie wchodzą w rzeczywistą grę. — Z licznych dyalogów i znakomitych epizodów wnosiéby można, iż to wszystko podąży w dalszym ciągu do jakiegoś wspólnego celu. Tymczasem książka coraz to maleje i już niezbyt daleko do końca. — Sam Brühl działa ciągle, działa przez inne osoby, ale to wszystko odbywa się po większej części za kulisami; dlatego to ciąg opowiadania jest często przerwany, z rezultatu tylko widać, iż Brühl nie próżnował i musiał znakomicie wszystko ułożyć, skoro tak wypadło.— Dopiero w drugiej połowie tomu drugiego, rozpoczyna się najciekawsze opowiadanie. — Brühl przygotowuje upadek Sułkowskiego, i przeprowadza go.— Czytelnik tu dopiero zaczyna się rzeczywiście interesować powieścią, i zaspakaja swoją ciekawość.— Atoli z upadkiem Sułkowskiego, kończy się właściwie powieść.

Dlatego to nie wdając się bezpotrzebnie we wszystkie szczegóły, ograniczymy się tylko na spostrzeżeniu, że autor Brühla zanadto miał wiele faktów historycznych i zanadto niedawne czasy przed sobą, aby mógł się w obec nich swobodnie rozwinąć, a równocześnie zbywało mu na tych drobnych faktach i często nieosiągniętych, któremi by mógł wypełnić tok opowiadania. — Dlatego to widoczném jest, iż autor chwieje się tutaj między monografią a powieścią historyczną; a liczne i znakomite epizody przyczyniają się tylko do uwidocznienia tej chwiejności; w skutek czego dzieło powyższe nie mogłoby w zupełności odpowiedzieć wymaganiom monografii, a nie dosyć przedstawia całości jako powieść historyczna. *...li.*

Pamiętnik aktora teatru w Gawronowie. Kraków. Nakład A. Dygasińskiego. 1875. str. 155, 8⁰.

161] Nieznanemu autorowi tego pamiętniczka a raczéj notatek szło widocznie o zapoznanie publiczności z kilkunastoma dniami ze swego życia, w których miał przyjemność pierwszy raz występować na scenie w „arcydziele nieznaném" wraz z jakąś panną Anną Klonowską, a zarazem o przekonanie wszystkich, a specyalnie swoich najbliższych znajomych, że to, co oni nazywali romansem między nim a ową panną, było tylko prostą znajomością. Gdyby autor był przestał wyłącznie na tém zadaniu, moglibyśmy ze spokojném sumieniem pominąć milczeniem jego pamiętnik. Cóż bowiem publiczność mogą obchodzić kilkunastodniowe dzieje aktora i aktorki, którzy, jak się łatwo domyśleć można, nigdy na scenie nie zajmowali wybitnego stanowiska — dzieje

opowiadane bez artystycznego obrobienia, bez dowcipu i nawet dość trywialnie. Ale wśród opowiadania o sobie, autor potrąca czasami o niektóre osobistości, któreśmy znali dobrze; niektóre z nich nawet w dziejach sztuki, a przynajmniéj w dziejach naszego miasta dość wybitne zajęły stanowisko. Podaje mimochodem, szkicowo, dość trafną charakterystykę tych osób i o tyle Pamiętnik jego ma dla nas wartość, że odnajdujemy w nim rysy znajomych naszych z poprzedniego dziesiątka lat. Zajmują nas one, jak portrety robione przez nietęgiego malarza, ale podobne. Pod pseudonimami, jakiemi autor osłonił te osoby, nietrudno nam dopatrzeć istotnych nazwisk i znajdujemy tam nazwiska artystów i artystek, dyrektorów, reżyserów, recenzentów teatralnych — i o tyle książka ta może zajmować pewne kółko czytelników. *Bł.*

Ruch naukowy w Akademii Umiejętności.

Odłożone z przeszłego miesiąca doroczne publiczne posiedzenie Akademii odbyło się nareszcie 15. b. m. Należy ono zresztą o tyle tylko do ruchu naukowego w Akademii, że na niem odczytano sprawozdanie podające obraz właśnie tego ruchu w ciągu roku całego. Streszczać go tu nie będziemy: czytelnikom Przeglądu naszego wiadomo już z naszych sprawozdań miesięcznych, jakich prac naukowych Akademia w ostatnich czasach dokonała, jakie rozpoczęto, lub jakie przedsięwziąść w najbliższej przyszłości zamierza; samo sprawozdanie zresztą, wydrukowane już w kilku pismach codziennych, będzie także pomieszczonem w drugim Roczniku Zarządu Akademii.

Tu więc tylko na to zwrócić uwagę wypada, że musiano w niem zaznaczyć obok pocieszających i smutne także objawy. Do tamtych przedewszystkiem zaliczyć można to, że Akademia wyrobić już sobie potrafiła pewne wśród innych towarzystw naukowych stanowisko, że jej starania znalazły z tej strony uznanie, tak iż w ubiegłym roku liczba towarzystw, z któremi w stosunki wstąpiono, znacznie wzrosła; a wszystkie chętnie na wezwania Akademii naszej odpowiadając, zarządziły wzajemną z nią wymianę swoich publikacyi: zbiory naukowe Akademii pomnożyły się i będą pomnażać w ten sposób znacznie, co tem bardziej jest pożądanem, skoro Akademia na ich wzrost nie wielką tylko część swych funduszów obracać może. A również do pocieszających objawów należy, że i wśród polskiej, nawet niekoniecznie naukowej, publiczności, umiano ważność Akademii i jej dobre chęci ocenić, jak tego nadsyłanie z dalekich nieraz stron darów ku poparciu lub wywołaniu naukowych przedsięwziąć dowodzi.

Natomiast nie można inaczej, jak tylko smutnym objawem, nazwać tego, że w najbliższem otoczeniu, zkądby się najżywszego poparcia i współudziału spodziewać należało, napotyka Akademia na oziębłość, możnaby prawie niekiedy powiedzieć, na niechęć. Zamiast poparcia, przychodzi jej się spotykać z zarzutami tego rodzaju, które świadczyć się zdają o rozmyślnem zapoznawaniu jej zadania, o chęci podkopania już w zawiązku jej znaczenia jako ogniska Umiejętności, czem przecież, i niczem innem, jak sama nazwa jej wskazuje, być powinna. Mimowoli spytaćby się należało: czy to zła wola? czy to świadectwo, żeśmy się niczego nie nauczyli i nic nie zapomnieli, że zawsze jeszcze nie możemy ścierpieć ani uznać wśród siebie żadnej własnej organizacyi na jakiembądź polu? Czyli też to tylko proste naśladownictwo zwyczaju dość rozpowszechnionego tam, skąd aż nazbyt często wiele przejmujemy, i to takich zwyczajów, które najmniej na naśladownictwo zasługują. Istotne znaczenie tego smutnego objawu dopiero przyszłość wykaże.

Oprócz publicznego całej Akademii, odbyły się także zwykłe miesięczne posiedzenia wydziałowe. W wydz. filolog. (5 Czerwca) zdawano sprawę z prac przedtem już temu wydziałowi nadesłanych; w wydziale histor. — filozof., który właśnie w początkach b. m. (2 Czerwca) ciężką poniósł stratę przez śmierć swego dyrektora, do ostatniej cywili niezmordowanego ś. p. Józefa Kremera, czytał (16 Czerwca) prof. I. Szaraniewicz, ze Lwowa na publiczne posiedzenie przybyły, swoją pracę: o beneficyach kościoła ruskiego za czasów dawnej rzpltej. Wydział zaś matem. — przyrodn. oprócz zwykłego posiedzenia (12 Czerwca), na którem czytano pracę prof. Zmurki: Przyczynek do rachunku przemienności, odbył w b. m. nadto dwa nadzwyczajne: na jednem uchwalono przedstawić Akademii na członka — korespondenta prof. Franke we Lwowie (co według statutu przed publicznem posiedzeniem nastąpić winno); na drugiem postanowiono jednę z prac przedtem nadesłanych (prof. Fabiana) drukować w pamiętniku tego wydziału.

Zamierzając o ruchu w komissyach akademickich w czasach ostatnich nieco szeżej w przyszłem sprawozdaniu pomówić, tu tylko zaznaczamy, że dwie z nich, językowa i historyczna, zbierały się w ciągu ubiegłego miesiąca.

W Krakowie 25 Czerwca 1875 r.

Spis nowych książek nadesłanych redakcyi.

Bobrzyński, Michał: O założeniu sądów wyższych prawa niemieckiego na zamku krakowskim. Zeszyt 1. (z Rozpraw Akad. Umiej.) Kraków 1875. 8° str. 154 i XV. 1 Złr. 20 cent.

Eysymont, F. M.: Walka idej. Tragi-Komedya. Kraków, 1875. str. 75. 8°.

Kraszewski, J. I.: Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799. T. 3ci 1791—1799. Poznań. Żupański 1875. Str. V i 689. 13 marek (Całe dzieło 33 marek).

Kudelka, Felix: Ueber die Entwickelung und den Bau der Frucht = und Samenschale unserer Cerealien. Inauguraldissertation. Berlin 1874. 8°. str. 16 i 2 tabl.

Liske, Xawery: Zjazd w Poznaniu w roku 1510. (z Rozpraw Akad. Umiej.) Kraków 1875. str. 161, 8°.

Łukaszewicz, Józef: Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiej. powiecie krotoszyńskim. Tom II. Obwód Borecki i Krotoszyński. Poznań. Żupański, 1875. Str. XXXII i 263. 8° marek 6

Shakespeare, Williama: Dzieła dramatyczne, pod red. Kraszewskiego. Zeszyt 4, 5 i 6. Warszawa. 1875. 8° wielkie.

Słowacki, Jules: Oeuvres choisies. Traduction française par Jules Mien. Livraison I. L' Arabe. Kraków 1875. Str. 16. 8°. 50 cent.

Zwracamy uwagę Szan. pp. współpracowników i korespondentów naszych na zmianę, od I Lipca, adresu Redakcyi: Zwierzyniecka Nr 36.

PP. Autorowie i nakładcy, życzący sobie, aby o ich publikacyach podaną została natychmiast wiadomość bibliograficzna a później w najbliższym czasie krytyczna ich ocena, zechcą takowe nadsyłać od Redakcyi zaraz po ich ogłoszeniu.

Wydawca: Adolf Otremba, księgarz. Druk W. Korneckiego. Odpowiedzialny redaktor: Prof. W. Zakrzewski.